ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPÓŁECZNY



REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA № 27
TEL. № 226-83 i 152-05.

№ 9

WARSZAWA
DNIA 2 MARCA 1913 R.

TRAGEDJA ŻEROMSKIEGO.

(Z powodu „**Wiernej Rzeki**“).

Wierna Rzeka — stanowi ważny etap w twórczości Stefana Żeromskiego. Mniej zapewne porywająca niż Popioły, mniej barwna niż Dzieje Grzechu, mniej wszechstronna niż Róża Katerli albo Ludzie Bezdomni — odznacza się natomiast ta nowa książka cechą, której na ogół brak powieściom Żeromskiego: skończoną i zamkniętą budową. Rzecz możliwa, że powieść ta jest dla tego właśnie skończoną i zamkniętą w sobie, architektonicznie dobrze zbudowaną rzeczą, że właściwie nie jest powieścią: jest to wielka nowela.

O Żeromskim powiedzieć można, że najpiękniejszą w nim jest dusza; że pięknym jest jego styl i język, jego frazes i obrazowanie, ale że budowa jego utworów jest wadliwa i niedoskonała.

Powiedziałbym, że talent Żeromskiego przy swej kolosalnej tężyźnie i różnorodności — nie posiada władzy nad samym sobą; w jego talencie niemasz talentu ekonomicznej gospodarki swego talentu. Rozrzutnie sypie on na prawo i na lewo talary i dukaty swoich obrazów i uczuć które, choć zapadały w „wierną rzekę”, to jednak pewnie z trudem dałyby się na nowo wyłowić z głębi.

St. Żeromski jest, raczej nowelistą z natury, niż powieściopisarzem. Każda jego powieść — jest o tyle lepsza w fakturze, o ile bardziej z istoty swej zbliża się do noweli („Mogiła“, „Syzyfowe Prace”, „Promień“); skoro tylko na szerszy rozmiar jest zakrojona — natychmiast się przetwarza w szereg nowel, opowiadań, rapsodów — w gruncie rzeczy bardzo luźnie powiązanych.

Niektórzy krytycy, jak St. Brzozowski upatrywali w tej bezforemności pism Żeromskiego właśnie jego oryginalność, przewyższenie szablonu; Żeromski — mówili — rozbija niejako ramy zwykłej powieści i stwarza dzieło nowego typu, poematu o epizodach zewnętrznie luźnych, wewnętrznie ściśle spojonych.

Owóż ta ścisła spójnia wewnętrza zdaje mi się problematyczną, gdy luźny związek zewnętrzny jest oczywisty. Dlatego historja Rafała i Cedry nagle rozpływa się w kołowrocie życia ogólnego i jakgdyby znika całkowicie; nawet w *Urodzie życia* druga, a zwłaszcza trzecia część nie znajduje się w żadnym logicznie koniecznym związku z tą świetną nowelą, jaką stanowi tom pierwszy.

Ponieważ rozpatruję tu twórczość Żeromskiego właśnie ze stanowiska formy — przeto musiałem na to wszystko zwrócić uwagę.

Doskonałość formy — obok podniosłej treści—niewątpliwie utrwala dzieło literackie na dłuższy czas; treść piękna przy bezforemności jest dla autora bardzo niebezpieczna. Ale Żeromski ma „nieśmiertelne stronice“, które niewątpliwie pamięć jego ocalą. I przy wszystkich jego niedostatkach dla tych „nieśmiertelnych stronic“ naród Żeromskiego ukochał.

Rozdawanie rang i dyplomów w literaturze jest rzeczą niepewną. Mimo wszystko jednak pozwolę sobie powiedzieć, że śród żyjących pisarzy młodszego pokolenia, on zawarł w sobie największą energję talentu

narodowego, największe napięcie uczucia, wyczucia i przeczucia jego tragicznych losów, największeześrodkowanie wszystkich fatalnych zaplotów jego położenia na świecie.

Wszystko w tej historji się rwie ustannie, załamuje, kruszy — i nanowo wszystko się układa; już to pod ziemię zapada i znika, już to nanowo z pod ziemi się wydobywa; nigdy jednak nic się nie rozwija w linji prostej, a choćby spiralnej, ale nieprzerwanie w jutro idącej. Tu ku jutru prowadzi linia oderwanych wysiłków, które może dopiero przyszłość powiąże w jedną całość, ale które dzisiejszemu spojrzeniu zdają się męczącą i męczeńską szarpaniną.



Stefan Żeromski.

Ze wszystkich tych bolesnych powikłań życia polskiego — najboleśniejszą zapewnie jest *niedorzeczność* tych męczarni. Zdaje się chwilami, że krążymy po jakichś beznadziejnych bajorach niedorzeczności, która zmusza do rozpraszania energji na elementarne zapasy, która redukuje naszą myśl i uczucie do kilku zasadniczych, wiecznie tych samych motywów; która nam każe wiecznie powracać na to samo miejsce, skąd się wyszło i w jakąś syzyfową pracę zamienia wszelkie dążenie. Przy mniejszym wysiłku każdy niemiec czy francuz osiąga znacznie lepszy rezultat, gdy u nas zawsze trzy czwarte marzeń, uczuć, pragnień, jasnowidzeń—przepada na marne. Niedomówienia są nieraz ciekawsze u nas, niż to co powiedziane; nawet słownik w jednej czwartej jako oniemiały przestał dla nas istnieć.

Prawda, że ostatnimi czasy rozwinęła się niechęć przeciw racjonalizmowi; ukochaliśmy właśnie irracjonalizm i nielogiczność życia: gdyby jednakże jaki autor wystawił nasze życie ze stanowiska kategorycznych wymogów logiki i wykazał, jak to życie tej logice urąga—to może by stworzył zupełnie nowy typ literatury.

Sądzę, że im autor wrażliwszy, tem lepiej odczuwa niedorzeczność naszego życia i tem żywiej szuka sposobów wynalezienia linji logicznej, choćby dla siebie, ale każdy na swój sposób się załamuje. Każdy inaczej: Miriam ukrywa się w wieży z kości słoniowej i czystą od życia oderwaną uprawia sztukę; zamyka oczy, aby żyć w świecie doskonalszym i niejako zatraca wszelki kontakt z życiem.

Przeciwnie St. Brzozowski chce wejść w sam rdzeń tego życia, w czyn, w pracę, ale zaledwie stworzył sobie tę formułę, już ona stała się czystą, pozażyciową formułą i przekształciła się w swoje własne zaprzeczenie. (dok. nast.)

Antoni Lange.

BURSY.

Z biegiem lat pogłębiają się granice pomiędzy trzema zaborami; dziś już nietylko materjalne istnieją podziały, ale i dusza polska ulegać im poczyna.

Różnie w polskich dzielnicach postępująca demokratyzacja, odrębne warunki oświatowe, inaczej się układające stosunki gospodarczo-ekonomiczne, sprawiają, że zupełnie inaczej zapatrują się na rozliczne kwestje z bytem naszym związane: w Poznańskiem, w Galicji i Królestwie. Sądzę, że jaknajpilniejsze rozpatrywanie spraw nam wszystkim wspólnych, roztrząsanie sposobem porównawczym postępów kulturalnych, zastanawianie się nad brakami, wynikającymi z naszych niedopatrzeń i błędów i korzystanie z wzajemnych przeżyć i doświadczeń, byłoby tym cementem, któryby nas jednoczył pomimo wszystkie różnice.

Jedną z takich spraw nadających się do rozpatrzenia, a bardzo aktualnych, bo sięgających w sam rdzeń naszego bytu narodowego, jest kwestja demokratyzacji oświaty. W Galicji działalność w tym kierunku jest w pełnym biegu, u nas się dopiero zapoczątkowuje.

Poza prawidłową funkcją organów rządowych, istnieje w Galicji nieslychanie rozgałęzione Towarzystwo Szkoły ludowej. Inicjatywa prywatna przychodzi z pomocą działalności oficjalnej, tworząc olbrzymi już dziś zespół usiłowań oświatowych. T. S. L. które w ciągu ubiegłego roku obchodziło dwudziestolecie swego założenia, otworzyło w ciągu tego czasu 2 gimnazja, 2 seminarja nauczycielskie, 5 szkół wydziałowych, 148 szkół ludowych, 36 szkółek po-

czątkowych, 113 kursów dla dorosłych analfabetów, 40 kursów przemysłowych, handlowych i zawodowych, 23 ochron, 18 burs.

Na ten ostatni punkt pragnęlibyśmy zwrócić baczniejszą uwagę. Uznano go za tak ważny, że miljonowy dar Grunwaldzki zebrany i ofiarowany przez społeczeństwo Towarzystwu Szkoły ludowej, to ostatnie postanowiło obrócić na zbudowanie bursy dla synów włościańskich.

Bursa ta, jest jednym z najpiękniejszych gmachów Lwowa, zbudowanym i urządzonym wewnętrznie podług ostatnich wymagań zdrowotności, estetyki i hygieny.

Nowy gmach ma 10 sypialni, po dwie jadalnie na każdem piętrze, uczelnie, czytelnie, pokoje warsztatowe, sloidziarnie, 4 garderoby, 4 łazienki i 13 pokojów dla dyrektora i personelu.

W Bursie tej jest 130 wychowańców w dwu odrębnych oddziałach, przy wspólnej jednak administracji.

Młodzież, która się w niej wychowuje, uczęszcza do najrozmaitszych szkół, 62 do szkoły średniej, 68 do przemysłowej, 12 jest terminatorów i uczniów handlowych, 82% zaś jest synami włościan.

Nad sprawami administracyjnemi czuwa specjalna komisja, a zarząd pozostaje w ręku dyrektora, kierownika oddziału przemysłowego i trzech prefektów.

Aby wciągnąć wychowańców do pracy społecznej, utworzono dwie odmienne „gminy bursowe", na wzór *city school*, z zupełnym samorządem, kasą oszczędności i sklepem.

W osobnych salach prowadzi się naukę introligatorstwa i sloidu, są też dwa warsztaty: stolarski i tokarski; przedstawienia teatralne, urządzane przez wychowańców mają własne dekoracje przez nich wymalowane, jak również i meble własnoręcznie wykonane, widzimy więc, że najnowszy typ wychowawczy, z metodą heurystyczną, został zastosowany, gdy dodamy jeszcze gry ruchowe na świeżem powietrzu, liczne wycieczki i zabawy, będziemy mieli obraz racjonalnych stosunków pedagogicznych bursy.

Strona materjalna przedstawia się w ten sposób: wydatki na utrzymanie chłopców, opłata personelu i t. p. wynoszą rocznie około 45,000 kor. z tego tylko 10,000 opłacają wychowańcy — gmach został wzniesiony kosztem 360,000 kor.

Jednem z najruchliwszych kół T. S. L. jest koło Tarnopolskie; posiada ono dom ludowy, w którym mieszczą się miejscowe instytucje społeczne, poza tem postawiono tam kosztem 225,000 koron wspaniały gmach na bursę i nazwano ją imieniem Kazimierza Wielkiego. Bursa ma bibljotekę, kasę koleżeńską, a wychowawcy zwracają szczególną uwagę na rozwój fizyczny chłopców; uprawiają oni różne sporty, narciarstwo, football, saneczki i t. p., dopłacają jednak więcej do ogólnego budżetu powstałego z ofiar, zapisów i subwencji krajowej, gdyż około 20,000 koron.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia prąd do zakładania burs w Galicji, w celu ułatwienia młodzieży włościańskiej dostępu do szkoły wyższej i średniej, jest nadzwyczaj żywy — pamięć znakomitszych jednostek społecznych czczona jest zakładaniem instytucji tego typu po wszystkich prawie miastach prowincjonalnych, składają się na nie możni tego świata i skromne ofiary zbiorowe.

Tragiczna śmierć Andrzeja Potockiego, sprawia, że na zagrożonych przez Rusinów kresach: w Stryju, Rudkach i Brzeżanach powstają dla wzmocnienia polskiego żywiołu trzy nowe bursy, w Orłowie dla obrony przed zachłannością niemiecką i czeską, tworzy się kosztem T. S. L. i Macierzy, odnośny zakład, ilość wychowańców dochodzi już w tych 18-tu bursach do 700 — o dziewczętach mało dotąd pomyślano, w Przemyślu tylko w bursie imienia królowej Jadwigi pomieszczono 39 dziewcząt, a w Rudce 14.

Zdawać by się mogło, że tak wielki nakład ofiarności i pracy powinienby wydawać znamienne rezultaty.

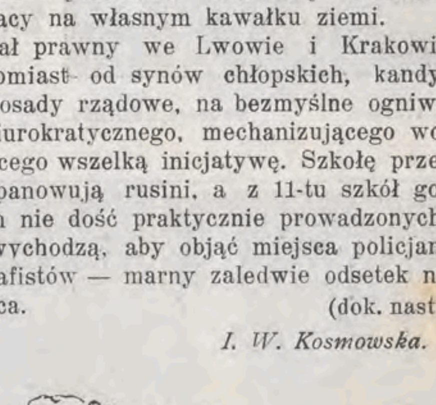
I tak jest niewątpliwie, ale w pewnej tylko mierze.

Najżywszym ze wszystkich trzech dzielnic jest w Galicji rozkwit literatury, nauki i sztuki, jest to następstwem demokratyzacji wiedzy, która powołuje do cywilizacyjnego współudziału ludzi ze wszystkich sfer i stanów. Inteligencja miejska zasilana tam jest stale przez dopływ świeżych, niezużytych sił ludowych, występuje jednak ten objaw niepożądany, że te ostatnie idą chętniej w kierunku teoretycznym a nie intensywnej twórczej działalności i spełnienia praktycznych zadań ekonomicznych. Słabo się więc wzmaga ogólna zamożność, idą w obce ręce naturalne bogactwa kraju.

Wyludnienie się wsi na rzecz miasta, emigracja żywotniejszych i zdolniejszych jednostek z zagona rodzinnego, wywołała prawie zupełny zanik kultury wsi i zatrzymała naturalny rozwój jej życia gospodarczego. Nierównomiernie bowiem z tworzeniem ułatwień dostępu do szkoły średniej, będącej niejako wstępem do uniwersytetu, powstawały niższe szkoły gospodarcze, mające na celu wyszkolenie młodzieży włościańskiej w pracy na własnym kawałku ziemi.

Wydział prawny we Lwowie i Krakowie roi się natomiast od synów chłopskich, kandydatów na posady rządowe, na bezmyślne ogniwa łańcucha biurokratycznego, mechanizującego wolę i tłumiącego wszelką inicjatywę. Szkołę przemysłową opanowują rusini, a z 11-tu szkół gospodarczych nie dość praktycznie prowadzonych, uczniowie wychodzą, aby objąć miejsca policjantów, telegrafistów — marny zaledwie odsetek na rolę powraca. (dok. nast.)

I. W. Kosmowska.



Pierwsza wystawa „Niezależnych".

W dużych środowiskach sztuki, wystawy niezależnych spełniają rolę regulatorów temperamentu i wybujałości indywidualizmów artystycznych. Spotykamy na podobnych wystawach wszystko to, co dalekie jest od konwencjonalizmu, nieodpowiednie do poddania się niwelacyjnej liniji *„juste milieu"*. Hasłem podobnych wystaw jest bojowy okrzyk niezależnych artystów *„épater le bourgeois"*.

Sam fakt zebrania w Warszawie 500 obrazów i rzeźb na wystawie „niezależnych" jest objawem wiele mówiącym, godniejszym głębszego zastanowienia, niźli uczyniła to warszawska krytyka.

Prawda, iż poziom ogólny wystawy jest mierny, mimo niewyraźnie pomrukujących bojowych haseł, lecz czyż obecna wystawa w Zachęcie, tym uświęconym przez mędrców szkiełko i oko przybytku sztuki, niema dzieł banalnych a nawet dyletanckich obok utworów rzeczywistej wartości?



Z. Szeller. Projekt na witraż.



L. Ostrowska. Portret p. L.



J. Trzaska. Dekoracja ścienna.



R. Wąsowicz. Inspekty.

Pokazana nam poraz pierwszy w Warszawie wystawa niezależnych, obesłana bez kwalifikacji „jury", nie daje nam ani chwili złudy, jakoby wypowiadała jakieś nowe, nieznane myśli, jakoby była błyskiem oręża walczących z burżujami jakichś nowych „istów".

Na wystawie tej słyszymy echa tego, co działo się niedawno w Paryżu, Monachjum i mimo jaknajlepszej woli i nadstawiania ucha, nie dowiadujemy się co się dzieje w tutejszem środowisku artystycznem. Młodzi artyści, Zalewski Edmund, Messyng Stanisław, Kozłowski Stanisław, Trzaska Jan, Kasztelanic Lucyna, znoszą, niby owe pszczółki pilne, najegzotyczniejsze barwy, spijane często bezkrytycznie w kilkuset salach paryskich, lub monachijskich wystaw i z większą, lub mniejszą odpornością na rozmaite ekstrawagancje, na które mogą sobie pozwolić zepsute wysoką malarską kulturą, francuskie dzieci Muzy, pokazują nam orgje szkarłatowo-fioletowe, lub rebusy dekoracyjne zatytułowane „Zniszczenie", lub „Apasz". Lecz nie zawsze przyćmiewa nadsekwańska mgławica oczy naszym nadwiślańskim artystom.

Talent i rzetelna praca, często nawet szczerolita indywidualność wychyla się z pod narzuconych im wpływów Paryża, który dla młodych artystów tą wyrocznią się staje, jaką jest dla krawców i krawczyń świata.



Stanisław Jerzy Kozłowski. Na nieznanej planecie.

Najszczęśliwsi wśród polskich artystów są ci, którym obie kultury były zwierciadłem własnych wartości, którzy wrodzonego smaku i temperamentu nie wyzbyli się w szale bulwarów i pracowni malarskich Paryża.

Wystawa niezależnych jest choćby z tego względu ciekawą, iż tam śledzić możemy co mówią i robią nasi



M. Czajkowska Kozicka. Chłopcy grający w kości.

artyści, gdy wypowiadają się w szkicach swoich i notatkach swobodnie bez fałszywego patosu. Szczerość dzieł nadesłanych, zaleca poznanie tej wystawy i bliższe omówienie w następnym numerze.

M. Dienstl.



Sadowski. Portret p. W.

TEATR I MUZYKA.

Teatr Polski. — „Nowe Ateny“.

W ostatnio wystawionych w Teatrze Polskim „Nowych Atenach“, komedji współczesnej, w 4-ch aktach, wypowiada Nowaczyński srogą walkę Wielkiemu Krakowowi, stwarzając charakterystyczne, oddzielnie niezłe, może dla silniejszego efektu nieco przejaskrawione typy maluczkich obywateli (do wielkich rozumie się interesów) o ptasich a conajwyżej baranich mózgach. Zmusza więc ich przez usta amerykanina, Samuela Szeląga do pracy przyziemnej u podstaw, w celu podźwignięcia przemysłu i handlu znajdującego się w stanie upadku, lub wyrwania zagarniętych już w tym kierunku placówek z rąk wrogich teutońskich przybyszów. Zdecydowany, gorący czciciel absolutnego pozytywizmu, walczy Nowaczyński w swej komedji z klasycyzmem i walczy również z romantyzmem we wszelkich jego przejawach, to też wyraziciel tych przekonań, mister Szeląg, oblewa zimną wodą tych tam wszystkich krakowskich dudków, mniemających w swej głupocie jakoby mieli orle skrzydła do obłocznych lotów.



Adolf Nowaczyński, autor „Nowych Aten“.

Gra aktorów była znakomita. Dulębianka, Zarzycka, Sosnowski, J. Zieliński, Maksymiljan Węgrzyn, Grabowski, Edmund Węgrzyn, Szobert, Leszczyński, Jarmiński i inni, stworzyli typy tryskające życiem a przedewszystkiem wyróżnił się Zelwerowicz jako nieporównany Warcholik.

Z.

Z FILHARMONJI.

W koncercie „Lutni“ pod główną dyrekcją Piotra Maszyńskiego wzięło udział kilka towarzystw śpiewaczych, a mianowicie „Drużyna“ i „Hejnał“ pod dyrekcją p. Otta, „Duda“ i „Harfa“ pod dyrekcją p. Lachmana, oraz przygotowawczy chór „Lutni“ i praski chór kościelny. Połączone chóry pięknie wykonały szereg pieśni, śpiew brzmiał harmonijnie, pełen siły i potęgi. Solo barytonowe w „Witoloraudzie“ Moniuszki odśpiewał p. Kamieński, a p. Tarasiewicz prześlicznie wygłosił tekst „Witoloraudy“ i z głębokiem odczuciem zadeklamował „Alpuharę“ Mickiewicza. Popisywały się również i oddzielne drużyny śpiewacze, z których największego powodzenia doznawała „Harfa“. Dzielnego jej dyrektora p. Lachmanna oklaskiwano i wywoływano z całym zapałem.

Z.

Koncert Henryka Opieńskiego.

Sympatyczny nastrój panował w Filharmonji na wtorkowym koncercie znanego kompozytora, Henryka Opieńskiego. Jego pieśni i preludja trafiały dziwnie do serca słuchaczów; że wymienimy preludjum 6 i 7, oraz pieśń *„Czasem“* nagrodzoną na konkursie Filharmonji.



Henryk Opieński. (Koncert w Filharmonji.)

Wrażenie niezatarte pozostawiły również kompozycje w wykonaniu orkiestry „Książę Niezłomny“ oraz poemat symfoniczny „Lilla Weneda“. P. Birnbaum z głębokiem poczuciem odegrał na skrzypcach „Andante religioso“ i „Krakowiaka“. Poklask zyskały również kompozycje Różyckiego „Anhelli“ i fragmenty z muzyki do „Irydjona“ oraz śpiew p. Comte-Wilgockiej i deklamacja p. Zalewskiej.

Z.

Sprawozdanie z teatru „Miniature“ patrz str. 11.

NASZE ARTYSTYCZNE PREMJUM ZA STYCZEŃ.



Kietlicz-Rayski. Widok Kazimierza.



Kietlicz-Rayski. Typ z Chełmszczyzny.



Marjan Puffke. Motyw z Bukowiny.



Stefan Filipkiewicz. Studjum.

Jak to już wzmiankowaliśmy w poprzednim numerze, powyższe 4 obrazy przypadły w udziale, jako premjum za styczeń w r. b. czterem szczęśliwym wybrańcom losu z pomiędzy naszych prenumeratorów a mianowicie: „Widok Kazimierza" p. Kucewiczowi z Tuczyna, „Typ z Chełmszczyzny" p. Cywińskiemu z Zduńskiej Woli, „Motyw z Bukowiny", p. Sosińskiemu z Krzywoszyna i „Studjum" p. Frydrychsonowi z Kowla.

Spis obrazów, przeznaczonych na premjum za luty r. b., podamy w następnym numerze.

ODCZYT TADEUSZA SMARZEWSKIEGO O „EMILU" JANA J. ROUSSEAU.

Prawdziwie zajmującym można nazwać odczyt wybitnego publicysty p. Tadeusza Smarzewskiego, który w sali ratuszowej zaznajomił tłumnie zebraną publiczność z znakomitym utworem Jana Jakóba Rousseau.

„Emil" oto tytuł utworu, który, chociaż wyszedł z pod pióra pisarza półtora wieku temu, dziś jednak nic prawie nie stracił ze swej świeżości a poruszając kwestję żywotną wychowania dzieci, jest tematem nietylko zawsze aktualnym dla prelegenta lecz i wielce pożytecznym dla słuchaczów.

P. Smarzewski umiał nietylko niezwykle zajmująco poprowadzić wątek odczytu, lecz powiem więcej — umiał zapalić słuchaczów, umiał ześrodkować i przykuć ich uwagę i myśl do przedmiotu.

Nie był to suchy wykład z pedagogji, nie było tylko krytyczne sprawozdanie z „Emila", lecz było to żywe słowo, rzucające światło na całą epokę (wiek XVIII) z przeprowadzeniem umiejętnej paraleli z obecnemi założeniami pedagogicznemi. W klasycznym „Emilu" niewątpliwie znajduje dzisiejszy czytelnik wiele naiwności a jednakże jest w nim jedno co

czyni utwór ten żywotnym i nie starzejącym się. Bo Rousseau rozwija już wówczas zasadę, że przy wychowaniu należy przedewszystkiem brać pod uwagę nie dany jakiś system, który niezależnie od umysłowości, przymiotów lub wad dziecka stosowałoby się do szeregu wychowańców, lecz — indywidualne dane dzieci w zależności od których dopiero możnaby odpowiednio zastosowywać różne metody wychowywania.

Zasługą genialnego pisarza jest przedewszystkiem to, że wywarł na współczesnych wielki wpływ w kierunku założeń wychowawczych, gdy wszystkie bowiem nauki wyzwalały się już z więzów scholastyzmu średniowiecza, zasady pedagogji nie uległy bynajmniej zmianie na lepsze. Rousseau w tym kierunku zasadniczą walkę stoczył z wstecznictwem i, jak na owe czasy, śmiałe te poglądy wypowiedział w epokowym „Emilu".

Należy się uznanie i wdzięczność p. Smarzewskiemu, za świetnie wypowiedziany i znakomicie obmyślony odczyt.

Scriba.



Tadeusz Smarzewski.
(Odczyt o „Emilu" Jana J. Rousseau).
Fot. S. Bogacki.

50-letni jubileusz Edwarda Lubowskiego.

W dniu 22 lutego w resursie kupieckiej odbyła się wielka uczta, w której wzięło udział około 100 osób ze świata literackiego i teatralnego, oraz ze sfer obywatelskich naszego miasta, w celu oddania należnego hołdu zasługom Edwarda Lubowskiego, przez pół wieku już składającego ze swego znakomitego talentu hojną daninę umiłowanej przezeń sztuce.

Lubowski wychowywał się w Krakowie, tam też kończył gimnazjum św. Anny oraz studjował prawo na Wszechnicy Jagiellońskiej. Uzyskawszy doktorat oddaje się jednak literaturze, wypowiadając się początkowo w wydawanem przez siebie wraz z Bałuckim i Szujskim piśmie *Niewiasta*, oraz w *Dzienniku literackim*. Wystawia również w Krakowie pierwsze swe utwory sceniczne w roku 1863 „Karjery" i w r. 1864 „Protegowany".



Edward Lubowski.
(50-letni jubileusz).

Osiadłszy w Warszawie, zostaje współpracownikiem pism tygodniowych i codziennych oraz *Bibljoteki Warszawskiej*, gdzie zamieszcza studja literackie i historyczne, oraz utwory beletrystyczne.

Nadewszystko jednak umiłował Lubowski teatr, to też i twórczość jego w tym kierunku najpotężniejszymi zaznaczyła się śladami. Bodaj że pół setką sztuk zasilił polską scenę. Piękny dorobek i szczytna praca!

Któż nie znał „Nietoperzy", „Przesądów", „Żyda", „Bawidełka", „Przyjaciółki żon" i wielu, wielu jeszcze innych życiem tryskających utworów.

Był to zawsze talent pogodny, tworzący rzeczy z trafnem ujęciem charakterów, przymiotów i przywar ludzkich, tworzący żywe typy, ujęte w dobrze i konsekwentnie zbudowaną całość. Stąd sceniczność sztuk Lubowskiego i zawsze to szczere zajęcie niemi słuchaczów, i zdobycie wstępnym bojem sympatji dla utworu.

Należy się czcigodnemu jubilatowi wdzięczność społeczeństwa za te wielkie zasługi, które położył na niwie literatury ojczystej.

Cześć jego pracy.

S-a.

50-letni jubileusz Kazimierza Alchimowicza

Gdy na zachodzie w ogniskach prawdziwego kultu piękna czci się długoletnią pracę swych zasłużonych na niwie sztuki, literatury itp., wyrazem wdzięczności ujawniającym się bądź co bądź w dość uroczystych obchodach, które nietylko pozostają pamiętną kartą w życiu jubilata lecz silniej utrwalają pamięć o nim w społeczeństwie, u nas — w wielu wypadkach — czci się zasłużonych artystów, którzy choćby pół wieku nawet strawili w służbie piękna... kolacyjką, tak, wyraźnie *kolacyjką* w gronie przyjaciół a pewien nastrój, nadający charakter może trochę uroczystszy, wprowadzają toasty wygłaszane podczas „uczty".

Na coś więcej po 50 latach pracy zasłużył sobie znakomity artysta malarz Kazimierz Alchimowicz, należał mu się obchód w szerszych nieco ramach, talent to bowiem, który zrobił swoje i chwalebnie zapisał się już na karcie zasłużonych na niwie artystycznej. Wielce ceniony artysta zawsze dążył z rozwagą, znamionującą wysoką kulturę, do wytkniętych celów na drodze swej twórczej pracy,



Kazimierz Alchimowicz,
(50-letni jubileusz).

unikając wszelkich chaotycznych rzutów, które jak mamy tego przykłady, nieraz najtęższe talenty sprowadzały na manowce.

Podczas uczty jubileuszowej dłuższe przemówienie wygłosił przyjaciel i najdawniejszy kolega jubilata, znany malarz artysta i krytyk Henryk Piątkowski. Przemówienie nie tylko znamionowała prawdziwa serdeczność lecz i gruntowna znajomość twórczości i życia jubilata.

Przemawiał również prezes Tow. artystycznego Ryszkiewicz, Kędzierski i inni a sędziwy jubilat w słowach serdecznych dziękował skromnemu kółku, które się zebrało by uczcić zasługi w tym tak pamiętnym dniu jego życia. *Z.*

Ś. p. Marja z hr. Grabowskich Stroynowska.

W Lublinie rozstała się z tym światem w 89 roku życia ś. p. Marja z hr. Grabowskich Stroynowska, wnuczka ostatniego wo-



Ś. p. Marja z hr. Grabowskich Stroynowska.

jewody Lubelskiego Franciszka hr. Grabowskiego, którego nazwisko zyskało sobie piękną kartę w dziejach kraju za czasów Księstwa Warszawskiego.

Ś. p. Stroynowska, posiadając głęboką miłość ojczyzny, nieraz w potrzebie składała ofiary dla kraju, jak również, obdarzona współczującem sercem na niedolę ludzką, hojną dłonią wspierała biednych i upośledzonych od losu.

Przed przeniesieniem się do Lublina, mieszkała w dziedzicznych swych dobrach Abramowice.

Ubyła zacna matrona polska, pielęgnująca w sercu swem najszlachetniejsze uczucia.



Ogólny widok stolicy Meksyku. Na pierwszym planie dom zarządu państwowego.

Rewolucja w Meksyku.

Rewolucja meksykańska, która jak wiadomo zakończyła się zamordowaniem prezydenta Madery, przysporzyła mieszkańcom stolicy rzeczypospolitej wiele nieszczęść i straszliwych chwil, które na długo chyba pozostaną im w pamięci w postaci krwawych obrazów pożogi i zniszczenia. Don Feliks Diaz, synowiec starego Porfirjusza Diaza, exprezydenta, który podczas swego długiego urzędowania potrafił utrzymać kraj w spokoju i porządku, — na początku zeszłego tygodnia, wkroczył do stolicy na czele tysiąca powstańców i zmusił prezydenta Maderę do złożenia urzędu. Pierwsza prośba zmuszenia Madery do abdykacji w styczniu r. z. dokonana przez Diaza, spełzła na niczem. Diaz został wówczas pochwycony i urzędowo skazany na śmierć. Ale prezydent Madera ułaskawił go, nie chcąc drażnić opinji publicznej, wyrokiem śmierci. Przy pomocy kadetów Diazowi ułatwiono ucieczkę z więzienia. Zabrał się on znowu do przygotowania zamachu stanu, i obecnie dopiął swego celu. Jest to mężczyzna w sile wieku, inteligentny i energiczny; pośród jego przyjaciół znajdują się najbardziej oświeceni meksykanie i cudzoziemcy.

Do urzeczywistnienia swego planu, Diaz znalazł wielu sprzymierzeńców. Przedewszystkiem skorzystał z usług Emila Zapaty, zapamiętałego wroga Madery, oraz generała Drosco. Zapata, na czele kilkunastotysięcznej armji pustoszył kraj i zdobył nawet Meksyk. Z odmętu ciągłych rewolucji i zawichrzeń które w ostatnich czasach stały się zjawiskiem częstem w Meksyku, Diaz wypłynął na wierzch jak demon buntu, silny i niebezpieczny, stworzony na wodza kraju, w którym bujny temperament ludzkości, przejawia

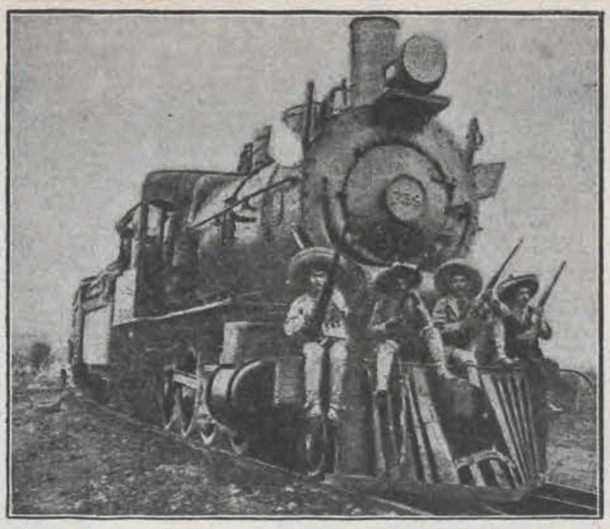


Meksykańscy powstańcy w wojennem pogotowiu.

się w czynach nieposkromionych i krwawych. Obecnie Diaza ogłoszono prezydentem. Czy potrafi się utrzymać na wyżynie, kędy go ambicja i odwaga szalona wyniosły, czy zdoła sprzęgnąć w jedno żywioły sprzeczne — wykaże to przyszłość. *A.*



Zamordowany prezydent Madera z żoną.



Ochrona pociągu z meksykańskimi powstańcami.

Miecz i dyplomacja.

Ostatnie dni Turcji Europejskiej. — Pod Czataldżą i na Gallipoli.—Sprawa Albańska.—Spór austrjacko-rosyjski. — Nowocześni Romeo i Julja.

Widnokrąg polityczny powoli lecz stale się wyjaśnia. Naturalnie, stosuje się to do stosunków w Europie,—dla Turcji bowiem nastają coraz gorsze czasy. Państwo to wlokło swój byt na lądzie europejskim tylko dzięki niezgodzie ludów bałkańskich i niemożliwości porozumienia między mocarstwami.

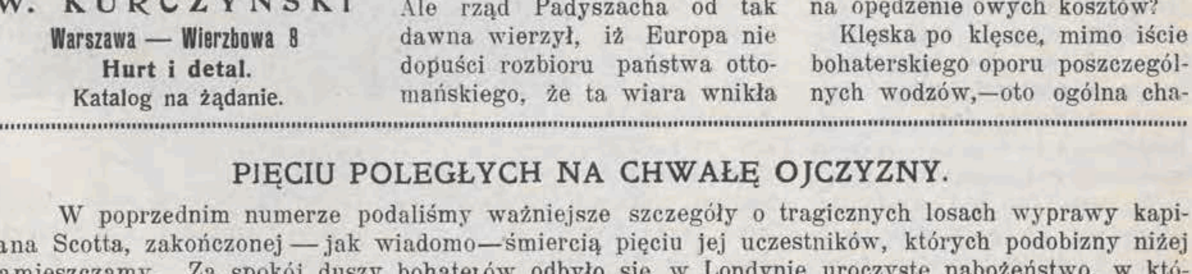
Z chwilą, gdy ludy bałkańskie zawarły związek między sobą, losy Turcji były zdecydowane. Ale rząd Padyszacha od tak dawna wierzył, iż Europa nie dopuści rozbioru państwa ottomańskiego, że ta wiara wnikła niejako w krew turecką. A teraz staje się przyczyną zguby ostatecznej.

Gdyby Turcja okazała się skłonną do zawarcia pokoju dwa miesiące temu, byłaby może jeszcze coś niecoś uratowała ze swych europejskich posiadłości. Ale zanadto liczyła na spór austrjacko-rosyjski o wpływy na Bałkanach, zanadto wielkie pokładała nadzieje w zatargu rumuńsko-bułgarskim. Sprzeczności wygładzają się powoli, a koszta procesów zapłaci państwo tureckie. A kto wie, czy starczy europejskich posiadłości na opędzenie owych kosztów?

Klęska po klęsce, mimo iście bohaterskiego oporu poszczególnych wodzów,—oto ogólna cha-

PIĘCIU POLEGŁYCH NA CHWAŁĘ OJCZYZNY.

W poprzednim numerze podaliśmy ważniejsze szczegóły o tragicznych losach wyprawy kapitana Scotta, zakończonej — jak wiadomo—śmiercią pięciu jej uczestników, których podobizny niżej zamieszczamy. Za spokój duszy bohaterów odbyło się w Londynie uroczyste nabożeństwo, w którem uczestniczył król wraz z całym dworem i dygnitarzami. Państwo ma zabezpieczyć los wdów i sierot pozostałych po pięciu męczennikach, poległych w imię nauki — na chwałę swej ojczyzny.



Kapitan Scott. Porucznik Bowers. Kapitan Oates. Dr. Wilson. Podoficer Evans.

rakterystyka toczącej się wojny. Ale bohaterstwo jednostek nie ocali sprawy ogółu, na zgubę przeznaczonej, Enver-bej, niewątpliwie jeden z najdzielniejszych żołnierzy czasów nowoczesnych, — zamiast uratować swą ojczyznę, popchnął ją tylko w przepaść. Zły czyn, przez niego dokonany: zamordowanie Nazima-paszy, — mści się, jak zresztą mści się każdy zły czyn— prędzej czy później. Warownie Czataldżyńskie, zdaniem znawców, są nie do przebycia i zagradzają wstęp do Stambułu. Ale niezgoda w armji tureckiej, wywołana czynem Enver-beja, osłabiła te warownie. Wrzenie, bunty, pojawiają się tam bezustannie. Wojsko, rozpolitykowane, przypomina pretorjanów rzymskich, wywierających wpływ na rządy państwa.

Zwolennicy Enver-beja usunęli, jak wiadomo, poprzedni rząd, któremu przewodniczył Kiamil-pasza. Dziś przeciwnicy młodoturków domagają się usunięcia dzisiejszego rządu. Wysyłają delegacje do sułtana, grożą, zupełnie tak samo, jak to Enver-bej czynił. A sułtan, zdemoralizowany temi pogróżkami, daje posłuch buntownikom i tylko o cierpliwość ich prosi.

A wśród bataljonów broniących Czataldży, toczą się potyczki, — nie z bułgarami, lecz pomiędzy sobą. W tych warunkach zajęcie Konstantynopola zależnem się stało nie od męstwa obrońców, lecz od woli bułgarów i kierujących tą wolą mocarstw europejskich.

To samo, co pod Czataldżą, dzieje się na półwyspie Gallipoli. Bułgarzy napierają coraz silniej, a zdemoralizowana i zdezorganizowana armja turecka ustępuje, osłabiona waśniami poszczególnych wodzów. A Gallipoli — to placówka bardzo ważna. Jest ona niejako kluczem do cieśniny Dardanelskiej. Kto klucz ten ujmie w swe ręce, ten będzie miał wstęp otwarty do Konstantynopola.

I tylko Adrjanopol trzyma się jeszcze, chociaż wieści z Sofji z dnia na dzień wieszczą mu upadek. Trzyma się też Skutari, od trzech miesięcy oblegane przez Czarnogórców. Te dwie warownie jednak nie ocalą losów Turcji w Europie. Adrjanopola domagają się bułgarzy i bez otrzymania tego miasta nie zawrą pokoju. Co do Skutari, — Austrja bezwarunkowo żąda, aby ta twierdza weszła w skład przyszłej, niezależnej Albanji. Zdaje się, że mimo protestów, żądaniu temu stanie się zadość.

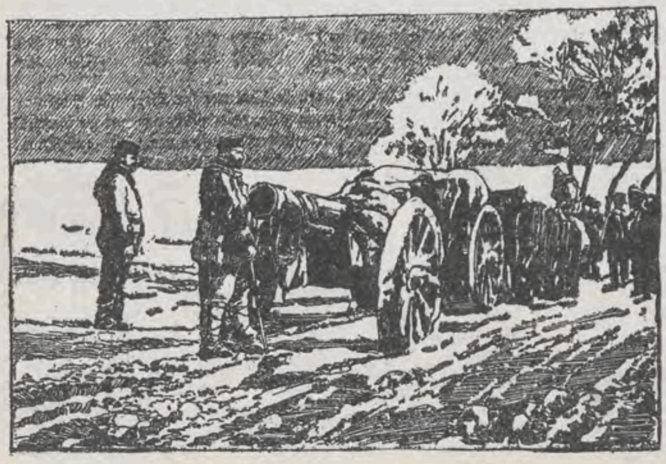
Sprawa Albanji stała się dziś niejako symbolem pokoju lub wojny w Europie. Tę to sprawę Austrja wysuwa na plan pierwszy, projektując utworzenie dużego stosunkowo państwa niezależnego. Rosja sprzeciwia się temu, uważając, że owa przyszła Albanja będzie kierować się wskazówkami Austrji i stanie się w ten sposób źródłem



Nowa zmiana bułgarskich żołnierzy biegnie by zluzować swych towarzyszy, znajdujących się na pozycji w okopach pod Adrjanopolem



Bułgarska artylerja pod Adrjanopolem z mitraljezami, dającemi 600 strzałów na minutę.



Ciężkie oblężnicze działa bułgarskie pod Czataldżą.



Admirał Yamamoto,
nowy prezes ministrów w Japonji.



Książę Gholam Mohamed Shah,
nowy szeryf Kalkuty.



Książę Kumberland z narzeczoną, księżniczką Ludwiką, córką cesarza Wilhelma.

wpływów austrjackich na półwysep bałkański. Powoli zacierają się różnice zdań w tej sprawie między Austrją a Rosją, stąd też i widnokrąg polityczny, chwilowo bardzo zachmurzony, powoli się wypogadza.

Przyczynia się do tego nastrój pokojowy Niemiec. Coraz jaśniejszem się staje, że Wilhelm II nie chce wojny w jubileuszowym roku swego panowania. A nie chce tembardziej, że w rodzinie swej obchodzić będzie uroczystość zaślubin swej córki najstarszej z księciem Kumberlandji. Uroczystość podwójna: rodzinna i polityczna. Bo Kumberlandowie wobec Hohenzollernów byli tem, czem ongi w Weronie Montecchi wobec Capuletów. Nowocześni Romeo i Julja godzą zaciętych dotychczas przeciwników.

(*h. m.*)

Prasa o „Atenach" Nowaczyńskiego, czyli—łamigłówka do nagrody.



Ów piorunne rzuca ciosy — tamten sławi pod niebiosy, jeden—chlast budowniczego, że „Ateny" — do niczego, drugi woła: „Ja nie winię!.." no, i gładzi po czuprynie. Więc... czy spisał się Grek młody?.. to — zadanie do nagrody.

TEATR „MINIATURE"

Nowy program teatru „Miniature" przedstawia się mniej interesująco, niżby się można było spodziewać, po zapobiegliwej dyrekcji. Udjalogowana i przerobiona na scenę przez p. Bratkiewicza (doskonałego wykonawcę roli piekarza) nowela Kadena p.t. „Poeta i piekarz" jest zgoła niedowcipna i nudna. Mniejwięcej to samo da się powiedzieć o części kabaretowej, będącej jeszcze jedną kopją, ogranego już repertuaru „Momusa". Zato wykonawcy ról i piosenek, stanowią zespół znakomity i doskonałą grą ożywiający oschłość programu.

J. A.



Eliza Orzeszkowa. *Pisma*, wydanie zupełne. Serja pierwsza: Powieści ludowe i szlacheckie, z przedmo-

OD ADMINISTRACJI. **Dla nowych prenumeratorów, którzy przybyli w r. bież. odstępujemy komplety „Złotego Rogu" za rok 1912 po rb. 2 z odbiorem na miejscu i po rb. 3 z wysyłką pocztową.**

wą Aurelego Drogoszewskiego. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Tomów pięć.

Pisma niezapomnianej autorki „Nad Niemnem" liczne jeszcze karmić będą pokolenia zdrową strawą duchową. Szerokie horyzonty jasnego umysłu pisarki, głębia i przenikliwość serca, współczującego każdemu, bądź indywidualnemu, bądź zbiorowemu cierpieniu, wreszcie szczery artyzm, oto nieśmiertelne walory utworów Orzeszkowej. Wobec wyczerpania niemal wszystkich dzieł powieściopisarki, firma Gebethnera i Wolffa podjęła nową zbiorową edycję, obejmującą w 30—40 tomach cały dorobek literacki znakomitej autorki. Wydanie powyższe podzielone zostało na serje, łączące w sobie utwory treści pokrewnej, oraz opatrzone gruntownem większem studjum znanego krytyka Aurelego Drogoszewskiego. Serja pierwsza, obejmująca w pięciu tomach powieści ludowe i szlacheckie, wyszła już z druku i zawiera, prócz przedmowy, utwory następujące: Obrazek z lat głodowych. Za doliną róż. Echo. Niziny. Tadeusz. Cień. W zimowy wieczór. Nad Niemnem. Dziurdziowie. Cham. Anastazja. Bene nati. Serja druga, obejmująca powieści żydowskie, oraz rozprawy z kwestji żydowskiej, zawierać będzie również pięć tomów i ukaże się w ciągu roku 1913-go. Tu zamieszczone zostaną powieści: „Meir Ezofowicz", „Eli Makower", oraz rozprawy i nowele: „O żydach i kwestji żydowskiej", „Gedali", „Silny Samson", „Ogniwa", „O nacjonalizmie żydowskim". Następna z kolei serja trzecia obejmie w dziewięciu tomach powieści: Z życia realisty, Ostatnia miłość, Pan Graba, Marta, Marja, Pamiętnik Wacławy, Rodzina Brochwiczów, W klatce, Wesoła teorja i smutna praktyka, dalej drobniejsze obrazki powieściowe, oraz szereg artykułów i rozpraw, sprawie kobiecej poświęconych.

Odpowiedzi Redakcji.

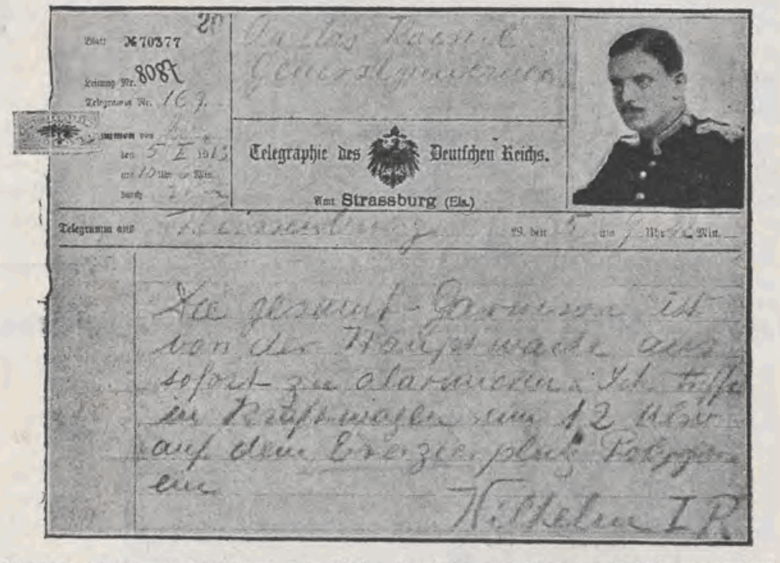
Pani Salomei w Siedlcach. Źle Sz. Panią poinformowano na miejscu. Właśnie w domu № 34 mieści się redakcja „Przyjaciela Zwierząt". Może Sz. Pani nadesłać pocztą, adresując: Feliks Kwaśniewski, redaktor „Przyjaciela Zwierząt", Nowy Świat № 34, w Warszawie.

P. A. J. Radzimy zwrócić się bezpośrednio do p. Stefanji Zajaszewiczowej. Adres: Chmielnik, gub. Kielecka.

Różne fałszerstwa.

Różne fałszerstwa dzieją się na świecie...

W tych dniach nprz. podoficer armji niemieckiej, niejaki W a l t e r, nie powodowany bynajmniej jakiemiś osobistemi korzyściami a tak wprost dla amatorstwa, „ideowo" sfałszował depeszę cesarza Wilhelma, która opiewała, że jakoby władca Niemiec zjeżdża do Strassburga. Cały garnizon, złożony z kilkudziesięciu tysięcy ludzi, zebrał się na placu rewji (o naiwności, wiadomem było przecież, że cesarz bawił wówczas na uroczystościach w Królewcu) i jak niepyszny, gdy sprawka się wydała, bez butnych min a z nosami na kwintę powrócił, po paru godzinach wyczekiwania, do koszar.



Sfałszowana depesza, którą podoficer Walter (podobizna w górze na prawo) poruszył cały garnizon w Strassburgu.

Na bardziej *realnym* gruncie oparła fałszerstwo para żydowska Ezra Gutenmacher i Małka-Estera, którzy w swojej „mennicy", w własnem założonej mieszkaniu „bili" ruble „srebrne" z blachy conajwyżej miedzianej. Dziś przedsiębiorcza para znajduje się już pod kluczem a my mamy sposobność zdemonstrowania obok „urządzenia fabryki" tak przedwcześnie „zwiniętej".



Podobizny fałszerzy, przyrządy do fałszowania monet, jak — sztance, dłuta, pilniki, słoje z kwasami, baterja i połączona z nią drutami wanna do galwanizowania, torba z chemikaljami, blaszki i gotowe ruble.



Femina

PRAKTYCZNA SZKOŁA HANDLOWA W PARYŻU.

Jeżeli praca kobiety poza domem, zwłaszcza zaś kobiety zamężnej, nie należy do ideałów przeciętnego kulturalnego społeczeństwa, to w każdym razie coraz częściej staje się ona nieuniknioną koniecznością ekonomiczną, z którą się liczyć należy. Nic tu nie pomogą najbardziej przekonywające deklamacje i wywody na temat przeznaczenia kobiety, fakt bowiem pozostanie faktem, że przy obecnym ustroju społecznym, coraz trudniej mężczyźnie utrzymać z pracy swej rodzinę. I że dopomagać mu w tem musi kobieta, i to nietylko pracą w domu, lecz i pracą zarobkową poza domem. Nie będę się tu rozwodziła nad wyzyskiem pracy kobiecej, dziedzina to posiada już bowiem całą literaturę, nadmienią jedynie (co również powszechnie wiadomo), iż 10 — 12 godzinna praca zarobkowa, z krótką przerwą na obiad, jaka często przypada w udziale pracującym kobietom, jest dla nich zabójstwem zarówno fizycznem jak i moralnem, i że wytężyć należy wszystkie usiłowania w kierunku unormowania nienormalnego stosunku słabszych aniżeli męskie sił kobiecych do pracy zarobkowej.

Jednym z pierwszorzędnych czynników, dopomagającym kobiecie do wywalczenia sobie odpowiedniej w hierarchji pracy placówki będzie niezaprzeczenie pewne uzdolnienie w tej lub innej specjalności. Niektóre gałęzie pracy mniej po macoszemu traktowane są przez kobiety, pragnące wywalczyć sobie stanowisko niezależne. Zaliczyć do nich należy pedagogję, krawieczyznę i wogóle dział strojów damskich, w czem osiągnęły one wielką wprawę, a nawet doszły do pewnej doskonałości i ujawniły wiele prawdziwego artyzmu.

Inne dziedziny traktowane są z większą lub mniejszą sumiennością i uzdolnieniem. Najmniejsze zaś przygotowanie zdradzają mojem zdaniem kobiety pracujące we wszelkich gałęziach handlu i finansów. Każda młoda dziewczyna, posiadająca dyplom z ukończenia pensji, uważa się za zupełnie odpowiednio przygotowaną do objęcia posady w kantorze, banku lub innem biurze; a gdy jeszcze zdobędzie bardzo niedokładne i słabe wyobrażenie o buchalterji, wówczas pretensjom jej niema granic. Być może, iż zdobyciu odpowiednich kwalifikacji staje na przeszkodzie brak dobrze zorganizowanych szkół handlowych, mogących należycie przygotować młode pokolenie do przyszłego zawodu w gałęzi handlowej lub finansowej. Mężczyźni kształcą się często w tym kierunku za granicą i dlatego kwalifikacje ich o wiele przewyższają kwalifikacje kobiet. U nas jedynym i ostatecznym celem kobiety wyjeżdżającej na studja zagranicę, jest zazwyczaj uniwersytet. A czy nie lepiej uczyniłyby niektóre młode dziewczęta, pragnące osiągnąć w przyszłości obok moralnych i materjalne, ze studjów swych korzyści, ażeby (zamiast lub równolegle z tak w chwili obecnej rozpowszechnionemi studjami uniwersyteckiemi) starały się przejść kurs w jednej z najlepiej za granicą zorganizowanych szkół handlowych. Przypuszczam, iż zarówno Anglja, jak Niemcy i Belgja posiadają przy swoich szkołach handlowych obok męskich, i sekcje kobiece. Co do Francji, to nietylko Paryż, lecz i wiele miast prowincjonalnych ma szkoły handlowe

z sekcją kobiecą. Szkoły powyższe utrzymywane są z funduszów rządowych, miejskich oraz z wpisów, opłacanych przez uczestników. Ponieważ dyrektorem szkoły w Paryżu jest M. Pigier, nosi tam ona powszechnie znaną nazwę *École Pigier*.

Z tą mianowicie szkołą pragnęłabym zapoznać Szanowne nasze Czytelniczki.

Zarząd jej bowiem twierdzi, iż obok studjów na miejscu, kurs przejść można i za pomocą korespondencji. Listownie udzielają profesorowie odpowiednich wskazówek oraz poprawiają ćwiczenia, przesyłane pocztą, które pocztą również odsyłają właścicielom.

Jeżeli istotnie nauka za pomocą korespondencji pożądane wyda rezultaty, to szkoła Pigier'a stanie się prawdziwem dobrodziejstwem dla osób, nie mogących przejść kursu na miejscu.

(dok. nast)

E. Żypowska.

PO TEATRZE.

Teatr... to pełne uroku — ponętne, czarowne słowo, jest dla mieszkańców wielkomiejskich prawie że nieodzownem dopełnieniem bytu, jest najpopularniejszą rozrywką, źródłem estetycznych uciech a w pewnej mierze i szkołą życiową. Do teatru uczęszczają wszyscy, młodzi i starzy, bogaci i biedni, których stać choćby na najtańsze miejsca i zdaje się, że właśnie ci ostatni, lubią teatr najzawzięciej — najrealniej, widząc w nim sztukę dla sztuki bez żadnych ubocznych względów. Nawet przeżyci i przesyceni ludzie, zajmują się żywo teatrem a jeszcze żywiej jego artystycznemi przedstawicielkami. W ich oczach nic tak nie podnosi uroku kobiet, jak deski sceniczne, nic ją tak nie otacza aureolą... Losami tych pań interesują się wszyscy — one tworzą „Modę", na której wzorują się najwytworniejsze damy, wzbudzają ciekawość na scenie i poza sceną, dzielą się na rozliczne kategorje, szczeble i szczebelki łączne ze sobą jedną nicią przewodnią, jednym zbornym punktem, to jest sceną i sztuką.

Oczywiście, im większe miasto, im liczniejsze, ruchliwsze środowisko ludzi, tem i ta jego artystyczna frakcja wybitniejsze zajmuje miejsce — i dlatego Paryż jako „stolica świata" jest i stolicą teatrów. Paryżanie przepadają za teatrem, życie bez tej wieczornej rozrywki byłoby dla nich niemożliwe, teatr jest ich marzeniem. Francuzi wogóle mają tę właściwość, tę znamienną cechę, że cały dzień pracują zawzięcie, ale wieczorem muszą się zabawić. Leży to w ich naturze, w ich nawyknieniach i może właśnie temu zrównoważeniu zawdzięczają swoją bajeczną wytwórczość i życiową energję.



Po teatrze — w Paryżu.

Nawet cudzoziemcom bawiącym przelotnie w Paryżu i nie wtajemniczonym w sposób życia jego mieszkańców — *teatromanja* ich rzuca się jaskrawo w oczy. Około 9-ej wieczorem wszystkie teatry są w formalnem oblężeniu — podążają tam tłumy, trudno się przetłoczyć lub przejechać — *c'est l'heure du théâtre*". A cóż dopiero dzieje się przy wyjściu, po skończonem widowisku... *po teatrze!..* Jest to w swoim rodzaju całe przedstawienie, któremu asystują liczni widzowie specjalnie przed teatr przybyli. Jesteśmy przed głównem wejściem Wielkiej Opery. Fronton *Akademji Muzycznej* wielkie zewnętrzne stopnie — westibule i najpiękniejsze na świecie schody, toną w potokach świateł. Na tle tej fantastycznej, cudnej dekoracji, widnieją czarowne kobiece postacie. Prześliczne głowy zdobne w pióra i brylanty, królewskie płaszcze otulające śnieżne ramiona, drobne stopy spowite przezrocznemi materjami sukien... Asysta panów również wytworna. Z pod wzorowych krojem palt lub *hawelock'ów* widnieją fraki lub smokingi oraz nieskazitelne gorsy i krawaty... wszyscy spieszą ku wyjściu „*c'est la sortie du théâtre*". Zaczyna się zgiełk nie do opisania. Prywatne automobile torują sobie z trudnością drogę przed autodorożkami. Policja wcale się w to nie wdaje. Panie, które nie mają własnych ekwipaży, unosząc wysoko treny sukien czekają na swoich panów, szukających z trudem wolnych powozów lub automobili, pod grozą przejechania przez dziesiątki najeżdżających *maszyn*. Zewsząd słychać krzyki, nawoływania, każdy pusty automobil jest zdobywany szturmem i opłacany bajecznie, dziesiątki chłop-

ców sprzedających gazety wieczorowe, torują drogę taksometrom, czepiają się stopni by dostać kilka susów, panie się bawią i śmieją, panowie się złoszczą i klną po cichu... trwa to przez pół godziny... Powoli nerwowe tłumy zaczynają się przerzedzać, automobile mkną przez bulwary najczęściej w kierunku *Montmartre* do wielkich nocnych lokali zabaw i sal tańca — bo w Paryżu, *po teatrze*... wre zabawa...

. . . .

W Londynie obraz ten przedstawia się w zupełnie innem oświetleniu i inne posiada cechy. Tło zostaje jednak to samo. Liczne i wspaniałe gmachy teatralne rzęsiście oświetlone, strojne tualety dam o bajecznie brylantowanych głowach, nadzwyczaj poprawne i w wysokim stopniu „correct" ubrania panów, ale całe te *select* tłumy nie zdradzają ani pośpiechu ani niecierpliwości. Porządek panuje wzorowy — policmeni podnoszeniem gumowych pałeczek dają odnośne sygnały, służba umiejętnem wywoływaniem ułatwia normalne zajeżdżanie ekwipaży i własnych i najmowanych, których liczba przewyższa zapotrzebowanie, a ulicznych spektatorów niema prawie wcale, co oczywiście upraszcza całą sytuację.

Wiele teatrów w Londynie znajduje się w wązkich ulicach, tam odjazd uskutecznia się prawie niepostrzeżenie. Widowiska kończą się wcześnie—bary, *Ice cream Shops* i t. p., są jeszcze pootwierane, panowie zachodzą tam na chwilę. Powoli, systematycznie, rozjeżdżają się automobile, dorożki — caby — we wszystkich kierunkach olbrzymiego miasta — *bo w Londynie po teatrze*, jedzie się do domu.



Po teatrze — w Londynie.

. . . .

A w Warszawie?.. Cóż tu mówić o naszym grodzie syrenim?.. Wiecie dobrze z czem jest połączone wyjście z teatru. Z teatru Letniego, po skończonem przedstawieniu, w razie słoty brną nasze urocze warszawianki po błocie, zanim zdołają dotrzeć do bram ogrodu, najbliższego chodnika betonowego i dorożek. Z teatru Nowości i pięknego Teatru Polskiego—zaułkami dochodzi się lub dojeżdża do szerszej arterji miasta, jedynie przed Teatrem Wielkim, lub Filharmonją, pięknie obute, zgrabne nóżki warszawianek, nie są narażone na pokalanie błotem, lub podeptanie w tłoku wązkich uliczek i zaułków.

A gdzie się idzie w Warszawie po teatrze? A no, najczęściej do... kabaretu. *O — tempora, o — mores!*

Marcèle.

O pielęgnowaniu rąk i paznogci.

W całokształcie piękności kobiecej, ręka zajmuje pokaźne pierwszorzędne miejsce. Tomy zapisano o rękach kobiecych. „Uścisnął gorąco jej białą dłoń", „Przyłóż mi dłoń twoją do skroni", „Alabastrową rączką gładziła swe złote sploty" i t. d. Jak ważną rolę odgrywa ręka, widzimy z tego, że zakochani, pragnący się żenić, proszą o rękę... swych bogdanek. „Oddała mu swą rękę", „obdarzyła go ręką". Z tego oczywiście wypływa, że owa symboliczna ręka, do której przywiązuje się tak wielką wagę, powinna i musi być ładna.

Zobaczmy jak ma wyglądać ręka, posiadająca wszystkie warunki piękności. Przedewszystkiem kształt: ma być wązka, o długich, okrągłych, cienko zakończonych palcach, ozdobionych paznogciami przypominającymi kształt migdała, ani zbytnio tłusta, ani za szczupła, kosteczki, ścięgna, muskuły, powinny być niewidoczne, jako też i żyły, które tylko niebieskiemi jakby niteczkami oznaczone być muszą. Wielkość ręki zależy prawie zawsze od wzrostu osoby — spore ręce kobiet wysokich, mogą być bardzo piękne, byle tylko posiadały wyżej wspomniane warunki.

Ręka może być bardzo mała a bardzo brzydka. Cechami ręki brzydkiej jest przedewszystkiem jej szerokość, następnie krótkość i węzłowatość palców— oraz szerokie i płaskie paznogcie. Najpiękniejsza ręka źle pielęgnowana, lub nie pielęgnowana wcale, może zatracić cechy piękności, na odwrót, mniej piękna kształtem a utrzymana starannie, może bardzo dobrze wyglądać. „*Montre moi ta main, je te dirai qui tu es*" — „pokaż mi twoją rękę a powiem ci kim jesteś", mówią francuzi i mają przeważnie rację. Piękność ręki ma być oznaką rasy i często tak bywa — ale faktem jest, że rodzaj zajęcia wpływa znamiennie na wygląd ręki, i że najładniejsze ręce mogą mieć i mają niestety osoby nie zajmujące się niczem. Ręce, jako nasze naturalne narzędzia, te, któremi się bezustannie posługujemy, narażone są na zniszczenie i różne uszkodzenia

wskutek zajęć naszych powstałe. Każda pani domu, matka rodziny, w warunkach średnich, musi dołożyć ręki do codziennych gospodarskich zajęć — a te niszczą ręce najbardziej.

Dla tych właśnie pań, które pomimo wszystko, pragną mieć ładnie utrzymane ręce — *hygiena piękności rąk* powinna być ściśle obowiązującą. Nie jest ona ani kosztowną, ani absorbującą zbyt wiele czasu, kilka razy dziennie, po kilka minut— na to można sobie pozwolić. Otóż te starania przedstawiają się w następujący sposób:

Przedewszystkiem i koniecznie ręce myć trzeba zawsze w wodzie przegotowanej letniej lub ciepłej mydłem hygienicznem przetłuszczonem *Lanolinowem*, a nigdy w wodzie zimnej surowej i pierwszem lepszem mydłem. Wszelkie plamki na rękach powstałe, wycierać należy leciuchno kawałkiem *kosmetycznego pomeksu* i kawałkiem cytryny, obetrzeć tak, żeby były jeszcze dobrze wilgotne i wtedy wetrzeć w nie, sposobem masażowym kilka kropel powszechnie znanego i bardzo uznanego *kremu Marcèle* (recepta paryska, wyrób krajowy). Sposób masażowy polega na wcieraniu kremu tak, jakby się nakładało ciasne rękawiczki na każdy palec osobno a następnie na całą rękę. Uskuteczniać to po każdem umyciu rąk—a na noc, po takiemże umyciu i natarciu, włożyć obszerne zamszowe rękawiczki. To jest zupełnie wystarczające i nic więcej nie potrzeba. Ręce będą białe, miękkie, delikatne. Nawet panie zajmujące się na wsi ogrodnictwem, stosując te bardzo proste środki, doszły do wybornych rezultatów. Oczywiście w tem jak we wszystkiem, obok tych skromnych sposobów i środków są i bardzo wytworne, do nich należą — mycie rąk (zawsze w wodzie przegotowanej letniej) tak zwaną *pâte souvereine*, nacieranie kremem, zwanym *pâte des prélats* i nakładanie na noc *rękawiczek kosmetycznych*, nasycanych. Osoby starsze, którym skóra na rękach marszczyć się zaczyna, powinny zawsze nakładać na noc *rękawiczki kosmetyczne gumowe* amerykańskie specjalnie w tym celu wymyślone i istotnie doskonałe, skóra na rękach wygładza się zadziwiająco. Gdyby jednak ręce były choć trochę, nadziębione, to tych gumowych rękawiczek stosować nie można, bo ręce popuchną.

Przechodzę do paznogci. Pięknie utrzymane paznogcie, to cała sztuka, która musi nie być tak łatwa, skoro istnieje specjalny dział kosmetyki stosowanej, zwany *Manicure*, trzeba go się specjalnie wyuczyć. Jest to paznogciowa operacyjka, wymagająca przy starannej robocie $1\frac{1}{2}$ godziny czasu. Mieszkanki wielkich miast powinny choćby 1—2 razy na miesiąc kazać sobie uskuteczniać te starania, bo istotnie paznogcie robią się prześliczne na czem oczywiście zyskuje wygląd rąk. Jest to podkreślenie osobistej elegancji.

Chcąc bez pomocy *Manicure* mieć porządnie utrzymane paznogcie, należy posiadać odpowiednie ku temu przyrządy (pudełeczko) również *Manicure* zwane, a jako środki pomocnicze pastę i płyn *Rosaria* oraz proszek amerykański *Lustre-ite* i poświęcić temu kwadrans codziennie.

Oto jest w głównych zarysach hygiena rąk zdrowych. O różnych dolegliwościach skóry na rękach i o ich leczeniu napiszę wkrótce.

Marcèle.

Odpowiedzi i rady poufne dla pań.

Pani Z G. Jeżeli chodzi o niezawodny środek od wągrów, to polecamy krem „Floréïne", który radykalnie usuwa wągry i wszelkie pryszcze, udelikatniając wspaniale skórę twarzy i rąk.

Łodziance Z wyborem pudru radzę być ostrożną. Polecam Pani „Floréïne". Jest to puder ryżowy, pozbawiony naleciałości szkodliwych, nadzwyczaj miałki, dyskretnie przysłania braki cery, jest zupełnie niedostrzegalny i dobrze przylega do skóry.

Uwaga. Polecane przez nas środki otrzymać można we wszystkich lepszych perfumerjach i składach aptecznych. Za zaliczeniem pocztowem wysyła również p. Józef Pruszycki, Złota 37.

Madame Jeanine.



Inicjatywa, co do stworzenia T-wa ochrony dzieci i młodzieży, rzucona w *Złotym Rogu* przez p. Walentego Zielińskiego, po zbrodniczym czynie młodocianego zbrodniarza, poruszyła nietylko opinję społeczną w Warszawie lecz i Łódź na sprawę tę nie pozostała obojętną, dowodem czego — między innymi — poniższa odezwa jednego z czytelników łódzkich, znanych z działalności na niwie społecznej. Odezwa ta, nadesłana nam przez kierownika działu łódzkiego, wybitnego publicystę Zenona Pietkiewicza, jest wymownem odzwierciadleniem poglądu współczujących kół społeczeństwa łódzkiego na poruszoną kwestję.

Redakcja.

DO PRACY!

„Z woli waszej czyn wasz będzie!"

Sprawa należytego wychowania młodzieży bez różnicy stanu, pozostaje ciągle jeszcze kwestją, podlegającą nader namiętnym obradom, w zasadzie jednak, mimo wszystkiego, w tym kierunku aż nadto mało zdziałano!

Zamieszczony w jednym z ostatnich numerów „Złotego Rogu" artykuł, pióra p. Walentego Zielińskiego, w sprawie ochrony dzieci i młodzieży, która z powodu niedostatecznej opieki coraz to głębiej grzęźnie w błocie moralnem, jak już wiadomo — ze względu na jego doniosłość — wywarł należyte wrażenie.

Sprawa ta, bacząc na niezmierne jej znaczenie, nie może być pominięta milczeniem, w tym bowiem wypadku popełnilibyśmy wprost zbrodnię społeczną.

Młodzież, kwiat narodu, jest zarazem i jego przyszłością, na przedwczesne więc zwiędnięcie tego kwiatu stanowczo musimy odpowiednio zareagować Formy tego przeciwdziałania—autor wyłuszczył w swoim artykule.

Tradycja, niepokalanej czystości młodzieży naszej ubiegłego stulecia, niechaj będzie świetlanym wzorem w pracy, którą obecnie należy przedsięwziąć. Wiemy, iż praca, którą podejmujemy, nie należy do zbyt łatwych. Tysiączne przeszkody tamować ją będą, jednakże tem zrażać się nie wolno. Odważnie musimy kroczyć naprzód i z bohaterstwem omijać wszelkie tamy.

Jeśli nie chcemy pozostawić potomności społeczeństwa bandytów i rozbójników, to wiedzeni instynktem dobra narodowego musimy się zabrać z energją do pracy.

Nie należy jednak zapominać, iż w tym wypadku nie wystarczy jedynie praca machinalna. Musi ona być poparta należytem poświęceniem — a przewodnią ideą tej pracy stać się powinien, dobrze zrozumiany obowiązek społeczny.

Tej pracy zaniedbywać nie wolno, albowiem pozbawiamy młodzież możności, by na dobrą drogę wróciła.

Zaniedbując tę pracę, rzucamy młodzież naszą na pastwę losu — nie bacząc na następstwa, jakie mogą wyniknąć.

Zaniedbując tę pracę, wpychamy sami młodzież w otchłań hańby i nędzy.

By przeciąć nici obydy, która z dniem każdym potężnieje, gruntuje sobie filary, panoszące się swobodnie w kraju, przysparzając wciąż nowe rzesze bandytów - obywatele naszego kraju, uświadomiwszy sobie doskonale przyczyny i powody tych wszelkich nieszczęść, jakie mogą spłynąć w następstwie na nas, niewątpliwie zabiorą się, bez ociągania się — do pracy twórczej, opartej na tle realnem.

Nie poprzestajmy więc jedynie na pięknie rzuconych stylowych frazesach a z wiarą, iż zapoczątkowana praca, należyte wyda plony, zabierzmy się do czynów. *R. Mar.*

Niezwykła ofiara a potrzeby miasta.

Telegraf rozniósł po całem państwie rosyjskiem, a może nawet dalej, wieść, iż magistrat Łodzi ofiarował na dwa aeroplany 25,000 rubli. Ofiara hojna i niezwykła!

W tej chwili Rada państwa rozważa sprawę samorządu miejskiego dla Królestwa Polskiego. Wielu członków Izby prawodawczej nie ma wyobrażenia o stosunkach i potrzebach naszego kraju. Ale może sądzić o nich z głośnych i niezwykłych czynów.

Dwadzieścia pięć tysięcy miasto przeznacza na aeroplany! Czyż takie miasto nie jest wyjątkowo szczęśliwe! Czyż miasto, które może zaoszczędzić taką znaczną sumę na aeroplany, może mieć jakiekolwiek braki i niezaspokojone chociażby najdrobniejsze potrzeby?! Wszakże na aeroplany można przeznaczyć tylko nadmiar pieniędzy, na nic innego na miejscu niepotrzebnych.

Przyczyniać się do budowy samolotów może tylko takie miasto, które nie ma ani jednego analfabety, które wprowadziło nauczanie powszechne, które doprowadziło stan zdrowotny do takiego wysokiego poziomu, że liczba zachorowań i wypadków śmiertelności doszła do *minimum*, nieznanego na kuli ziemskiej. Miasto takie posiada wzorowe i liczne szpitale, urządzenia według ostatnich wymagań techniki i hygjeny. Chorzy nietylko nie umierają na ulicy, lecz nawet nie czekają w przedsionkach szpitalnych.

Miasto, które może ofiarować na aeroplany dwadzieścia pięć tysięcy rubli, nie ma wcale głodnych robotników, umierających w nędzy i zaniedbaniu, nie ma żadnych obywatelskich komitetów ratunkowych, żebrzących o drobne i większe datki miłosiernych przemysłowców i wszelakich przedsiębiorców.

Miasto, które się zdobywa na taki gest wspaniały i staje się przez to sławnem na cały świat, musi mieć wszelkie instytucje kulturalne, zaspakajające potrzeby nietylko ludzi zamożnych, ale także szerokich rzesz pracujących.

Miasto, które przeznacza dwadzieścia pięć tysięcy rubli na aeroplany, musi mieć świetną kanalizację, wodociągi, masę ogrodów, zieleńców, resursy, czytelnie, muzea, domy ludowe, kąpiele, domy tanie dla robotników, znakomitą komunikację tramwajową, świetne bruki, czystość wzorową, wybornie zorganizowaną i uposażoną pomoc lekarską, bezpłatne lecznice, sanatorja, ogromny procent dziatwy, kształcącej się kosztem funduszów miejskich i t. d.

Oczywiście inaczej być nie może! Jeżeli tedy w Królestwie Polskiem istnieje miasto w tak wyjątkowo pomyślnych warunkach, w kwitnącym stanie gospodarki i kultury, o czem wymownie świadczy przeznaczenie 25 tysięcy rubli na aeroplany, to oczywiście samorząd jest zbyteczny, a przynajmniej jeżeli już tak koniecznie jest żądany, to należy go dać w ramach możliwie najciaśniejszych, gdyż tam, gdzie się osiąga takie świetne wyniki, przy administracyjnej formie gospodarki, nie można już nic lepszego osiągnąć przy gospodarce samorządnej.

Do takiego przekonania niewątpliwie dojdą ci wszyscy członkowie Rady państwa i Dumy, którzy nie znają ani Królestwa Polskiego, ani Łodzi, bo zresztą, idąc drogą logiki — a sądzę, że ci panowie zawsze chodzą tą drogą — nie można przyjść do innego przekonania.

Jakiż gwałtowny przewrót musiałby nastąpić w ich umysłach, w jakież osłupienie wpadliby, gdyby naraz znaleźli się w Łodzi!

Jakto?! Dwadzieścia pięć tysięcy rubli ofiarowujecie na aeroplany, a macie sto tysięcy ludzi głodnych? Tysiące dziatwy ubogiej, brudnej, zziębniętej, tułają się po ulicach, bo drzwi szkolne są przed niemi zamknięte. Choroby zakaźne dziesiątkują dziatwę i młodzież dorastającą, do tego stopnia, że aż trzeba szkoły zamykać, ażeby za ich pośrednictwem straszne choroby w dalszym ciągu się nie szerzyły. Na ulicach Pogotowie ratunkowe zbiera ludzi, wycieńczonych głodem, a wy przeznaczacie 25 tysięcy rubli na aeroplany?! Na niektórych waszych ulicach można pływać łódkami po błocie, a na pierwszorzędnych — można łamać koła i żebra, gdyż wasze bruki to jest okropna ruina, to obraz krzyczącego zaniedbania i lekceważenia potrzeb pierwszorzędnych, a wy jesteście tacy rozrzutni dla czczej sławy i wykazania uczuć patrjotycznych, o których przecież i tak nikt nie wątpi. Dworzec kaliski jest odcięty od miasta z braku komunikacji tramwajowej, ludność uboga nie może mieszkać w tanich lokalach w dzielnicach przedmiejskich lub podmiejskich, bo nie może się dostać do warsztatów pracy z braku komunikacji tramwajowej, a wy...

Przepraszamy, panowie posłowie! Proszę nie mówić *wy*. *My* nic nie wiemy o tem, nas nikt nie pytał, czy mamy potrzeby pilniejsze nad aeroplany, czy życzymy sobie, ażeby przed założeniem szkół, nakarmieniem głodnych, wynalezieniem dla nich pracy kosztem miasta, wybrukowaniem ulic, zorganizowaniem odpowiedniej pomocy szpitalnej, ambulatoryjnej i t. d., z sum drogą podatków i innych poborów, od nas ściągniętych, ofiarować 25 tysięcy na aeroplany.

Nas o to nikt nie pytał, bo to byłaby grzeczność, czy formalność całkiem zbyteczna. Tego wcale nie wymaga forma naszej gospodarki miejskiej...

Jeżeli zarządowi miasta chodziło o czyn niezwykły i głośny, o upamiętnienie go, to można było stworzyć coś takiego, co poszłoby na korzyść miasta i jej ludności, coś takiego, co pozostałoby jako cegiełka w gmachu kultury miejscowej.

Stało się inaczej!... Zresztą kto wie, czy w tych aeroplanach nie tkwi myśl inna, czy nie będą one zapoczątkowaniem urządzeń, dotychczas nieznanych nietylko w naszych miastach, ale i innych na kuli ziemskiej. Łódź jest miastem najniezdrowszem u nas. Warstwy górne powietrza świeżego oddziela od miasta kurz i dym; ani czas, ani środki komunikacyjne, ani warunki ekonomiczne nie pozwalają większości mieszkańców oddychać świeżem powietrzem. Otóż jeżeli z czasem miasto wyasygnuje jeszcze kilkadziesiąt tysięcy na aeroplany, specjalnie majętni mieszkańcy będą mogli za jakąś niewielką opłatą, a ubodzy nawet darmo, wzbijać się ponad dymy i kurz i tam oddychać przez pewien czas powietrzem świeżem. Uodporni to ich organizm tak dalece, że będą mogli bezkarnie przebywać w niezdrowych i dotychczas zabójczych warunkach życia miejskiego.

Nie dość na tem! Aeroplany umyślne, a może z czasem „Zepeliny“ pozwolą mieszkańcom patrzeć z pogardą na bruki łódzkie, rzeki błota na ulicach, gdyż komunikacja napowietrzna zapanuje wszechwładnie I czyż nie będzie to wszystko tańsze, niż brukowanie ulic i urządzenia sanitarne?

Nie lekceważmy więc tej głębszej myśli i przyjmijmy wspaniały gest hojności miasta, jako zapowiedź wielkich reform gospodarki miejskiej, nieznanych jeszcze dotąd pod słońcem...

Heron.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

9)

Czarny chleb.

A dlaczegoż nie gospodarujesz na swojem, teraz?

— Bo już ja swoje odrobił, panie. Czterdzieści lat zagonów swoich pilnował, ziemię i dobytek szanował — dzieci pohodował — co sam umiał ich nauczył — podzielił — słabszym sam dopomógł, silniejszym nie dał mniejszych skrzywdzić, odsłużył w gminie setnikiem i starostą — jedną córkę co była za mąż oddał — wszystko sprawił co matka, umierając, przykazała spełnić. Podumałem — mocy jeszcze trochę ostało — można popanować. Ze dworu przysłali — może kto, tu za stróża się zgodzi. Młodzi nie chętliwi byli—prawią, że nudno—a mnie chęć wzięła.

Lubo tu latem — cicheńko, tajnie, spokojnie. Panowanie istne, wola i dola. I dumka się plecie, i moc się nie rwie. Wspomina człowiek lata, wspomina troski, roboty— wspomina ojców i sąsiadów i dzieci—i sprawy różne — i uciechę ma — że tyle tego i odrobił, i wybiedował. I bez kłopotu sobie na koniec żyje, nikomu miejsca nie zawala, a jeszcze zimą — jak do swoich zajrzy, to grosz ma tknąć — najpotrzebniejszemu. Bogu niech będzie chwała — na wiek ja swój nie narzekam — i nie obejrzał się, jak żywot zbył.

Gość wstał, wyprostował się, przeciągnął. Spojrzał po sobie, i skrzywił się.

— Do czegom ja podobny! — mruknął.

— Ja pana prosił, by te odzienie zrzucił. Mam przecież bieliznę czystą — a te szmaty trza uprać. Smakował panu chleb — niechże pan sprobuje lnianej, naszej koszuli.

Ze skrzynki dobył zwitek bielizny, a gość z uśmiechem sięgnął, wziął w ręce szarawą, gładką tkaninę, pachnącą jeszcze lnem i dymem chaty. Gdy się jej ciekawie przyglądał przy świetle ognia, chłop pocżął znów gwarzyć swym spokojnym głosem, co przypominał poszum zbóż w cichą letnią pogodę.

— To jeszcze z żoninego trudu — i starczy do trumny. Zostawiła mi pełną skrzynię — a obdzieliła dzieci wszystkie, a czasem i sprzedała trochę, jak bywał ciężki przednówek. A szmat się spaliło w chacie, wtedy! Nie było we wsi drugiej baby tak „chytrej“ do lnu jak moja. A pamiętam, że ja jej brać nie chciał — „na siłę“ matka kazała — i myślę, że żaden chłop nie pozna się tak na babie — jak druga baba. Chytrość w nich jednaka, to i znakomość lepsza. Ja po wieczorkach i muzykach, dziewki upatrywał — a one po polu i po chatach. Mnie się spodobała coraz to inna — a jej tylko jedna. To jak umyślili swaty słać, to ja w głowę się drapał z namysłu: i ta ładna i ta bogata, i ta zęby szczerzy, i ta głos cienki ma — a ona odrazu prawi: będziesz Marynę — brał.

Aż mnie coś rzuciło: bo to i ospowata była i mruk — i raz tylko my ze sobą gadali — i to mi w pysk dała. Tak ja naprzeciw matce stanął — uparł się: jak Maryna, to i żenić się nie chcę.

A matka jak nie porwie za kociubę, jak nie stanie mnie walić — zasłaniałem się, uchylałem — a w końcu do drzwi — i w nogi.

No — i stanęło na matczynem, bo co było poradzić. Pobraliśmy się na jesieni, a jak do roboty się wzięła — widzę — że matczyne oczy dobrze wypatrzyły — matczyna głowa dobrze wydumała. A po roku ludzie wszystkie mnie zazdrościli. Kobieta była zdrowa jak rzepa, a w robocie mocna jak koń, i największa osobliwość bez języka. Bo niema na całem świecie gorszej choroby— jak babski język. Nigdy swarów, nigdy jazgotu. Jak do serca jej doszło to waliła, ale dwuch słów próżnych nie powiedziała, a matkę szanowała jak rodzoną. (d. c. n.)

6)

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Niech jeno oddział jaki przystanie czy to w lesie, czy na wsi, czy w miasteczku, niech jeno żołnierz zawiesi kociołek nad ogniskiem, niech jeno wyciągnie się jako tako na legowisku, już ci wpada chmara tego paskudztwa a piskiem, świstem, krzykiem djabelskim płoszy sen z utrudzonych oczu i nędzny kąsek od ust zgłodniałych odtrąca.

Nie trudno wprawdzie skurczybyków przepędzić na cztery wiatry. Gruchnąć im tylko raz a dobrze, plunąć w ślepie ołowiem — wieje hołota, aż się kurzy. Ot i teraz. Wyjechała im grangarda nasza na karkach, kopnęło się na ochotnika też kilku ułanów, ale czy to w takiej kurzawie i mroku, gdzie już człowiek własnej ręki z pałaszem nie dojrzy, czy którego, powiadam, huncwota zdołają nasi utrącić.

— A co wiedzieć, — rzecze melancholijnie porucznik Radwan z siedemnastego pułku piechoty—co wiedzieć, czy nasi wszyscy wrócą z tej pogoni.

— Jeżeli który padnie, to nie wróci, odparł z filozoficznym spokojem, jakiś głos z pod kupy gałganów.

— Ta, ta, ta! Toć wiadomo. Nie nowina. Kapiemy, mości panie, i nie pomału. Wykruszy się rychło korpus do ostatniego szeregowca. Wszyscy djabli! Co oszczędziły kartacze, mrozy, wody, lody, choróbska, to teraz wybiorą po jednemu kozacy Płatowa. Myślę, że już nikt z nas kości, choć i pogruchotanych niezgorzej, do domowych osiedli nie doniesie.

— Pociesz się, poruczniku szanowny — rzecze na to kapitan kirasjerów, odwracając się od ognia -- pociesz się, mój mości panie, że owi włosi, holendrzy, westfalczycy, francuzi, niemcy i jak ich tam zowią z tych sprzymierzonych, dalej jeszcze mają niż waćpan do domowych osiedli drałować.

— Marna pociecha.

— Ha, ha, ha, — zaśmiał się kapitan. — A no, nie trzeba, mój mości panie, nazbyt wiele wymagać. Nie wiem, jak tam u was w piechocie, ale my kirasjerzy, wszyscyśmy co do jednego, tam jeszcze pod Możajskiem, krwią własną podpisali pakt ze śmiercią, i już mię nie korci, kiedy się Kostusi podoba zatrąbić: tra, ta,— ta wzywam was. kirasjerze, zdychać czas

— Nikt tu się sianem śmierci wykręcać nie myśli, odpowie porucznik Radwan. Nikt tu się pod pierzynę nie chowa, ale do kroćset kartaczy, bebechy bolą patrzeć, jak się to wojsko nasze zacne bez potrzeby i pożytku stopiło.

— Bo pewnie — odezwie się głos inny. Bo pewnie! Dla dumy i fantazji Napoleona przepadł marnie kwiat rycerskiej młodzieży polskiej, jak marna plewa.

Powstał ze śniegu oficer strzelców konnych, którego zresztą jedynie po bermycy poznać było do jakiej broni należy, bo na sobie tułub miał żółty kacapski, a nogi pokręcane w skóry baranie. Otrzepał jako tako śnieg z kożucha i, stanąwszy tyłem do ogniska, jak to bywa przed kominkiem w domu, ręce za siebie założywszy, niektórzy stawać zwykli i, grzejąc się tak przy płomieniu, mówić zaczął.

— Dobrześ to waść panie poruczniku powiedział: Tępią nas, mości panie, bez potrzeby i pożytku. Cesarz o nas nie dba i nam nie ufa. Ot i teraz, kiedy sobie czmychnął po cichutku od armji, miast oddać komendę księciu Józefowi, któren, co zechciejcie waszmoście przyjąć pod uwagę, jest po nim a może przed nim jedynym wodzem do tej wojny nieszczęsnej sposobnym; on znowu szwagierka nam na dowództwo narzucił.

— Król Neapolu jest żołnierz wielkiej fantazji, — przerwie kirasjer.

— Nie przeczę.

— Zawołany kawalerzysta, szanowny dobrodzieju!

— Zgoda i na to, mości kapitanie, ale można być najlepszym kawalerzystą, najogniściej szarżować z pałaszem w ręku, a skoro wypadnie samorzutnie pomyśleć o losach armii...

— Zwłaszcza armii, której niema — wtrącił głos z pod kupy gałganów. (d. c. n.)

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

55)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Łagodne słowa księdza i na ustach jego uśmiech dobry uspokoiły młodzieńca — Podniósł ku ziemi spuszczone powieki, spojrzał na pana Włodka i szepnął:

— Słucham was, panie!..

Wojewoda oddychał ciężko, walczył z jakimś natłokiem uczuć — Po chwili głowę podniósł, wpatrzył się na stojące przed nim pacholę i rzekł głosem cichym:

— Czy... nie pamiętasz nic... z przeszłości swojej?..

— Nic, panie — odpowiedział obojętnie Przemko — —

— A jednak?..

— Malutki byłem, kiedy obumarła mnie mama — —

Wojewoda drgnął — —

To słowo ostatnie, ze wszystkich słów świata najsłodsze słowo, rzewnem uczuciem przepełniło pierś wojewody. Nachylił się i szepnął:

— Pamiętasz rodzicielkę swoją?

— Jak przez sen, panie!

— Jej głos?

— Śpiewem był dla mnie, panie—smutnym śpiewem o ludzkiej niedoli.

— Mówiła ci... o... ojcu?.. — cicho wyszeptał pan Włodek.

— Śpiew jej mówił, że miłowała go bardzo — —

Znać było, że wspomnienie matki rozrzewniło skłonnego dziś do łez Przemka. Wojewoda otarł spocone czoło i znowu szepnął:

— Nic ci potem o niej albo o ojcu twoim nie mówili... ludzie?

— Zwano mnie „wojewodą“ — dla czego — nie wiem!..

Ksiądz się poruszył, wojewoda dłonią oczy zasłonił — —

Po chwili spytał:

— Masz może jaką pamiątkę po matce swojej?

— Nie mam nic, panie, prócz serca w piersi... to jej podarunek — po ojcu zaś mam...

— Co? co? — rzucił pan Włodek — —

— Znak rozpryśniętej wiśni w dołku piersiowym...

— Skąd wiesz, że to po ojcu?

— Znak taki mój ojciec miał — mówiła mi mama.

— Tak... tak — nie kłamała macierz twoja — rzekł wojewoda — —

Tu podniósł się, ruchem powolnym rozwiązał pas, żupan z pętlic oswobodził gzło rozdarł i błysnął piersią nagą przed zdziwionemi oczyma Przemka: Palce, rozbierającego się wojewody, trzęsły się, jak w febrze złej, usta drżały a oczy wypełniły się łzami. Naga pierś wiśnią błysnęła — —

— Jezu! zakrzyczał Przemko — —

— Synu! załkał wojewoda — —

Wyciągnął ręce — —

— Ojcze! ojcze!.. jęk wypadł z piersi Przemka — i runął do kolan, nie mogąc łez powstrzymać, ni łkań — —

Mój syn, moje... dziecko! — szepnął pan Włodek, miłosnym uściskiem ramion garnąc go ku sobie — a Przemko wił się u kolan ojcowskich, tulił się do jego szat karmazynowych, z płaczem, z jękiem, z szałem radości, wołając:

— Ojcze! ojcze!..

Kilku słowami ksiądz przemówił... Krótkie były ale podniosłe słowa.

Przemko się podniósł... Wstrząsnął się, jako lwie młode na wołanie ech pustyni, rozbijających się po skałach; ech, niesionych przez wiatry dalekie, w których grały odgłosy walk, przepotężne lwów poryki. Piękny był, promieniejący dumą i szczęściem. W duszy jego ozwały się dzwony wspomnień, uderzyły mieczową pieśnią o ojcach i praojcach — o ich zasługach wielkich i czynach pięknych. Zdawało mu się, że przebiegł wichr wieków i w miecze zadzwonił i zaszeleścił w proporce, które, ongi szumiały w lasach jadźwingów, na stepach Rusi, w niedostępnych puszczach Litwy. Zapomniał o wszystkiem i o wszystkich. To co wchłaniał był w siebie w rozmowach z panem Włodkiem prowadzonych, dziś się stawało niepodzielną jego własnością. Krew, przelana na walk polach — to była jego krew! Żar jej czuje, pieśń jej słyszy i woła: „Ojcze mój!... i białe, piękne czoło nastawia do pocałunków zalanego łzami wojewody, który w uczuć nadmiarze szepce tylko:

— Mój syn!.. moje dziecko!.. (d. c. n.)

MAREK TWAIN

Opowiadanie chorego.

HUMORESKA.

Patrząc na mnie sądzilibyście, że mam lat sześćdziesiąt i że jestem żonaty, lecz to tylko cierpienia przyprawiły mnie o ten wygląd, bo w istocie liczę dopiero lat czterdzieści i nie stałem dotąd na ślubnym kobiercu. Trudno bo zaiste uwierzyć że ja, dziś cień niemal, przed dwoma laty byłem uosobieniem siły męskiej. Straciłem jednak zdrowie i to w sposób niesłychanie dziwaczny. Stało się to w ciągu jednej nocy zimowej, podczas podróży koleją na przestrzeni czterystu kilometrów, gdy odwoziłem zwłoki przyjaciela. Zdarzenie jest ciekawe, a nie minę się z prawdą, podając wam je szczegółowo.

Mieszkam w Klewelandzie w stanie Ohio. Pewnego wieczoru styczniowego wróciłem do domu o zmroku, podczas straszliwej zadymki śnieżnej. Przywitano mnie wiadomością, że towarzysz mego dzieciństwa i młodości John B. Hachett, rozstał się z tym światem i wraz z ostatniem tchnieniem, wyraził życzenie, abym to ja właśnie odprowadził ciało jego do miejsca rodzinnego.

Niesłychanie zmartwiła i rozstroiła mnie ta wieść, lecz nie było czasu na wzruszenia, należało niezwłocznie wyruszyć. Przygotowałem więc kartkę, z adresem:

Brzmiała ona: Wielebny Lewi Hachett w Betlehem — Wiscoutin i pobiegłem na kolej podczas szalejącej burzy.

Dostawszy się na stację, z łatwością odnalazłem długą skrzynię, którą mi wskazano i umocowawszy na niej kartkę poleciłem ją wyprawić pierwszym pociągiem pośpiesznym, poczem podążyłem do bufetu, aby się zaopatrzyć w butersznyty i cygara. W drodze powrotnej zastanowiło mnie, że skrzynia stoi na platformie, nieznajomy zaś młodzieniec zajęty jest przytwierdzaniem papieru z wskazaniem miejsca przeznaczenia paki. Oburzony zwróciłem się do zawiadowcy po wyjaśnienie. Zapewnił mnie, że pudło stoi już w wagonie, to zaś zawiera transport amunicji dla towarzystwa strzeleckiego w Illinois.

W tejże chwili, spóźniona pora skłoniła mnie do zajęcia miejsca w wagonie, gdzie też znalazłem odpowiednie siedzenie na worku bawełny.

Konduktor znajdował się tu także. Liczył on około pięćdziesiątki, zdradzał nizkie pochodzenie, lecz twarz jego nosiła znamię dobroduszności, a całe jego znalezienie się było jowialne i uczciwe.

Gdy pociąg ruszał już niemal, wskoczył weń i wyskoczył jakiś młodzieniec, składając na trumnie kilka paczek zasobnych, poczem rozległ się świst lokomotywy i wagony poczęły przecinać ciemne otchłanie nocy. Jednocześnie burza szalała coraz groźniej, obezwładniając niemal całą moją istotę moralną i pozbawiając mnie resztek odwagi.

Stary konduktor wypowiedział kilka spostrzeżeń tyczących się niepogody oraz syberyjskiej temperatury, poczem zasunął drzwi i opatrzył je sztabami, oraz szczelnie zamknął okno i kręcąc się wśród bagaży nucił tonem fałszywym: „jak słodkie, słodkie pożegnanie!“

Niezadługo wśród atmosfery lodowatej dobiegła mnie woń ostra i przenikliwa. Zdeprymowało mnie to bardziej jeszcze, gdyż fakt ten naturalnie łączyłem, z wiezionem ciałem przyjaciela. Było coś niewypowiedzianie smutnego w tem milczącem a pełnem powagi przypomnieniu i zaledwie też powstrzymałem się od płaczu. Obecność konduktora paraliżowała mnie też nieco, wszak z łatwością zorjentuje się jakie jest źródło odoru. On atoli nucił w dalszym ciągu, co mnie niesłychanie uspokoiło. Jednakże z każdą chwilą fetor się potęgował i stawał się niemożliwy do zniesienia. Tymczasem zaś Thomson, takie bowiem miano nosił sługa kolejowy, wziął kilka wiązek drzewa i jął nakładać je w piec.

Strapiło mnie to niesłychanie, czułem bowiem, że gwałtownie pogorszy sytuację. Działanie gorąca niewątpliwie będzie zabójcze dla resztek ziemskich mego zgasłego przyjaciela. Konduktor przypatrując się gorejącym zdala głowniom, silił się zatkać wszystkie możliwe szpary, dające dostęp powietrzu, objaśniając mnie, że pragnie nam uprzyjemnić jazdę nocną i w tym celu tamuje wszelki możliwy dostęp zimna.

Co do mnie nie czyniłem żadnej uwagi w nadziei, że usiłowania jego okażą się bezowocne. Podczas tego ogień się palił, Thomson wciąż jeszcze nucił, a atmosfera stawała się coraz cięższa. Czułem że bledne, jednocześnie zaś cały byłem w potach, lecz cierpiałem w milczeniu.

Po kilku minutach „Słodkie pożegnanie“ słabiej jakoś wydostawało się z gardzieli mojego towarzysza i wkrótce zduszone zostało zupełnie. Nastąpiło złowróżbne milczenie, wreszcie Thomson rzekł:

— Wydaje się jakbym napalił w tym piecu zgoła czem innem, aniżeli drzewem, — poczem zbliżył się do trumny, pochylił się nad ułożonymi na niej pakunkami i znowu powrócił do mnie. Miał wygląd bardzo strapiony.

Po chwili zapytał, wskazując skrzynię.

— To przyjaciel pański?

— Tak, odparłem z westchnieniem.

— Już się trochę rozkłada, hę?

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, każdy z nas śledził bieg myśli własnych, gdy Thomson przerwał ciszę, rozumując głosem uroczystym.

— Czasami nawet wątpisz, czy istotnie pomarli... Pozory mylą. Ciało jeszcze nie ostygło — stawy są giętkie i t. p. Jakkolwiek sądzono, że nie żyją, nie jesteś tego jednak pewny. Już miałem takie wypadki. To prawdziwie zatrważająca historja, nigdy bowiem nie jesteś pewny czy się nie zerwą i nie zajrzą ci w oczy. Po chwili musnął skrzynię, dodając.

— Lecz co do niego, możesz być spokojny. Za to odpowiadam najzupełniej.

Milczenie znowu trwało czas jakiś. Dobiegał nas świst lokomotywy i jęki wiatru, gdy Thomson zaczął mówić z przejęciem.

— Tak, tak, wszyscy musimy pójść w drogę, niema na to rady. Przelotną tylko jest gościna człowieka na tej ziemi! To ciekawe — i nikt wyłamać się nie umie z pod tego prawa. Jesteś silny, wesoły — aż tu...

Nagle w środku zdania zerwał się na równe nogi i stłukłszy jedną z szyb okna odetchnął kilka razy głęboko i powrócił na miejsce, z kolei i ja powstałem i poszedłem za jego przykładem. W taki sposób ratowaliśmy się przez czas jakiś o ile można przed zaduchem.

— Nazajutrz ścięty jesteś jak trawa i nie poznaje cię miejsce twoje, jak mówi Pismo Święte. Tak, to ciekawe jest i podniosłe, lecz niema na to lekarstwa — pójść musimy wszyscy!

Nastąpiła dłuższa pauza, poczem zagadnął:

— Na co umarł?

Odpowiedziałem, że nie wiem —

— A kiedy?

Zdało mi się, że drobna przesada, celem ustalenia istotnej śmierci będzie tutaj na miejscu, rzekłem więc:

— Dwa, czy też trzy dni temu!

(dok. nast.)

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

4)

Zazdrosny Estremadurczyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nietłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

Jęły go prosić, aby następnej nocy przyszedł na to samo miejsce, dodając, że przywiodą ze sobą swoją panią. Nadmieniły jednak, że nie łatwo im to przyjdzie ze względu na to że jej małżonek miał sen nader lekki, co było wynikiem nie lat starych, ale niebywałej jego zazdrości.

Laoysa odrzekł im na to, że jeśli chętnem uchem słuchają jego śpiewu, a nie chcą staremu snu przerywać, da im on pewien proszek, którego szczyptę wystarczy wsypać mu do wina, a napój taki wywrze skutek, że Carrizales, w głębokim śnie pogrążony, spoczywać będzie dłużej niż zazwyczaj.

— Chryste, Panie! — zawołała jedna ze służebnic, — jeśli to prawda, jakiegożto dobroczyńcę zesłano nam przez te drzwi zamknięte, choć niczem nie zasłużyłyśmy sobie na podobną łaskę i nie słyszałyśmy nawet, jak wchodził do domu! Zaiste, nie będzie to tylko proszek nasenny dla niego, ale proszek życiodajny dla nas i dla naszej biednej pani, Leonory, jego małżonki, gdyż nigdy, ani w cieniu, ani na słońcu, nie pozostawia jej samej i na chwilę nie spuszcza jej z oczu. Ach, panie najmilszy! przynieśże Waszmość ów proszek i niechaj Bóg za ten dobry uczynek ześle ci wszystko, czego serce zapragnie. Wracaj do nas coprędzej i nie zapomnij aby o proszku, panie mój miły, a ja się podejmuję sama do wina mu go wsypać i wino wlać do szklanki. Daj Boże, aby stary spał trzy dni i trzy noce, my bowiem tyleż miałybyśmy czasu do szczęścia i uciechy.

— Przyniosę więc Waszmościankom ów proszek, — rzekł Loaysa. — Jest to, zresztą, środek całkiem niewinny i żadnej szkody nie może wyrządzić, tyle jeno, że sen ciężki sprowadza.

— Poprosiły go wszystkie, aby jaknajrychlej przyniósł im ów proszek i, postanowiwszy następnej nocy uczynić za pomocą świdra otwór w ścianie i przyprowadzić do galerji Leonorę, pożegnały naszego gędźbiarza. Murzyn, choć blizkie już były zorze poranne, chciał, aby lekcja się jeszcze odbyła, na co Loaysa chętnie przystał, dając murzynowi do zrozumienia, że żaden z jego uczniów nie posiadał równie jak on pięknego głosu, choć biedak, ani wówczas, ani późniejszymi czasy jednego czystego dźwięku nie umiał z siebie dobyć.

Przyjaciele Loaysy dbali o to, aby nocą znajdować się przed domem i pode drzwiami nasłuchiwać, na wypadek, gdyby towarzyszowi swemu w czemkolwiek mogli być pomocni. Gdy uczynili z góry umówiony znak, poznał Loaysa, że znajdowali się na stanowisku i poprzez otwór pod zawiasą, w krótkich słowach zdał im sprawę z dobrego stanu rzeczy, prosząc ich usilnie, aby wyszukali dlań jakiś środek nasenny, którymby mógł uraczyć Carrizalesa, i dodając, że słyszał o jakichś proszkach, które na ten cel się nadawały. Oni, odparli, że mają pewnego przyjaciela lekarza, który da im niezawodnie najlepszy środek, o jakim będzie wiedział, jeśli tylko proszki takie istnieją. Następnie, dodawszy mu otuchy, aby nie zaniedbywał rozpoczętego dzieła i obiecawszy, że powrócą następnej nocy, pospiesznie pożegnali się i odeszli.

Nadeszła noc i nasze stado gołębie zbiegło się znowu, zwabione dźwiękiem gitary. Wraz ze służebnicami przyszła i naiwna Leonora, cała drżąca i pełna lęku, aby jej mąż się nie obudził: bo choć początkowo, zwyciężona tą obawą, pójść z niemi nie chciała, wszystkie pokojówki, nadewszystko zaś ochmistrzyni, takie dziwy opowiadały jej o słodkiem śpiewaniu i o junackiej osobie ubogiego gędźbiarza (tak, nie znając go

nawet z widzenia wynosiły jego postać nad Absalona i Orfeusza), że biedna ich pani przez nie całkiem przekonana, musiała zdobyć się na krok, którego uczynić nie miałaby zamiaru.

Pierwszem ich staraniem było prześwidrować ścianę, aby ujrzeć muzykanta. Ten zrzucił był już nędzne łachmany i miał teraz na sobie obszerne szarawary jedwabne, marynarskiego kroju, takiż sam żupan, złotem wyszywany, beret płaski podobnego koloru i kołnierz na sztywno wykrochmalony z szerokimi wyłogami: we wszystko to zaopatrzył był swą torbę, przewidując, że w takiem znaleźć się może położeniu, kiedy wypadnie mu strój zmienić. Był młody, słusznego wzrostu i dorodnego oblicza, a niewiastom, że od tak długiego czasu, prócz swego starego pana, nie widziały żadnego mężczyzny, zdało się, że patrzą na anioła.

Jedna po drugiej, kolejno, zbliżały się do otworu; i, aby dokładniej mogły go obejrzeć, murzyn stał w pobliżu i z góry na doł przesuwał mu, od twarzy aż do stóp, zapaloną świecę woskową. Kiedy wszystkie już, nie wyłączając nawet murzynek, napatrzyły się nań dosyta, Loaysa ujął w dłonie gitarę i począł śpiewać tak pięknie, że wprawił w zachwyt wszystkie swe słuchaczki, zarówno stare, jak młode, a gdy skończył, wszystkie chórem prosić jęły Ludwika, aby szepnął słówko swemu mistrzowi i panu, i wprowadził go do nich na pokoje, gdyż pragnęły napatrzeć się nań dowoli i usłyszeć go zblizka, nie zaś ukradkiem tylko, jak teraz, przez otwór w ścianie. Dodały, że będąc tak oddalone od swego pana, lękają się, aby ten, obudziwszy się, znienacka nie przyłapał ich na gorącym uczynku, co nie mogłoby się zdarzyć, gdyby ukryły Loaysę w wewnętrznych pokojach.

Oparła się stanowczo temu żądaniu Leonora, mówiąc, że nie chce, aby śpiewak wszedł do mieszkania, gdyż nie mogłaby przystać na to ze spokojnem sumieniem, tembardziej, że z galerji mogły oglądać go i słyszeć bezpiecznie, w niczem honoru swego na szwank nie narażając.

— Cóż honor? — ozwała się na to ochmistrzyni. — Królom pozostawmy te troski. Zamknij się, jeśli chcesz, Waćpani ze swym Matusalamem, ale pozwól nam bawić się jak możemy, tembardziej, że ten pan zda mi się być nader uczciwym człowiekiem i nie będzie wymagał od nas niczego ponad to, na co my zechcemy mu pozwolić.

— Ja, panie łaskawe—rzekł na to Loaysa,—przyszedłem tu z tą myślą jedynie, aby służyć Waszmościankom duszą całą i ciałem, tknięty litością dla was, które żyjecie w tem zamknięciu niesłychanem, tracąc bezpowrotnie najpiękniejsze chwile istnienia. Klnę się na głowę mego ojca, iż jestem człowiekiem łagodnym, układnym, posłusznym i że tylko to czynić będę, co Waszmościanki mi rozkażą. Jeśli którakolwiek powie mi: mistrzu, proszę usiąść tutaj; mistrzu, proszę tam stanąć, leżeć tutaj, przejść tędy, — wszystko uczynię jak najposłuszniejszy i najlepiej wytresowany z piesków pokojowych, które skaczą dookoło króla francuskiego.

— Dobrze więc, — rzekła niedomyślna Leonora, — ale w jakiż to sposób będziemy mogły wpuścić tu mości śpiewaka?

— Nic łatwiejszego, — odparł Loaysa; — niechaj Waszmościanki postarają się tylko odcisnąć w wosku klucz od drzwi wewnętrznych, a ja przyniosę nazajutrz inny, podobny, który celowi swemu najzupełniej będzie odpowiadał.

— Gdy klucz ten do rąk dostaniemy, — ozwała się jedna z pokojówek, — będziemy mogły otwierać wszystkie drzwi domu, gdyż jest to klucz główny.

— To nam w niczem nie może zawadzić — rzekł Loaysa.

— Prawda to, — rzekła Leonora, — ale przysiądz nam Waszmość musi, że kiedy będzie tutaj z nami razem, śpiewać tylko będzie i grać i słuchać naszych rozkazów i nic ponad to; przytem, gdziekolwiek go usadowimy, pozwoli się zamknąć i cicho będzie siedział.

— Przysięgam — odparł Loaysa.

— Nic nie warta taka przysięga — rzekła Leonora, — musi Waszmość przysiądz na głowę swego ojca i na znak krzyża i krzyż ucałować, tak abyśmy wszystkie to widziały.

— Przysięgam tedy na głowę mego ojca — rzekł Loaysa, — i na ten znak krzyża, który całuję mojemi brudnemi ustami.

To mówiąc dwa palce na krzyż złożył i pocałował je trzy razy. Gdy to uczynił, inna pokojówka odezwała się:

— A niechże Waszmość nie zapomni aby o proszku nasennym, gdyż jest to rzecz najważniejsza, jeśli chcemy, aby wszystko się udało.

Na tych słowach skończyła się rozmowa i wszyscy pozostali nader zadowoleni z jej ostatecznego wyniku.

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wyd. „Warsz. S-ka Nakładowa." Redaktorka odpowiedzialna **Izabela Arturowa Gliszczyńska.**
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefony 226-83 i 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.